WTOREK Nr 85 14 IX 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

MŁODZIEŻOWY TELEFON ZAUFANIA

Z dniem 1 września br. po wakacyjnej przerwie wznawia w Warszawie działalność Młodzieżowy Telefon Zaufania nr 988. Telefon czynny jest w dni powszednie w godzinach od 11.00 do 21.00.

Dyrekcja Wojewódzkiej Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Warszawie

Fot. **M. Szymański**

REPORTER Świata Młodych

Tu Liga Reporterów • Tu Liga Reporterów

Witam Was i zapraszam do udziału w dyskusji, którą otwieram nowy rok szkolny w LR

RODZINA I JA

To hasło wywoławcze Ligi Reporterów. Oczekuję wypowiedzi o Waszym najbliższym otoczeniu w jakim żyjecie. Napiszcie, jaka jest Wasza rodzina, a także czy odpowiada ona modelowi życia o jakim marzycie. Oto pytania szczegółowe:

- Skąd, z jakiego środowiska i regionu kraju pochodzą rodzice, jakie jest ich przygotowanie zawodowe i rodzaj pracy którą wykonują?
- Które z rodziców i dlaczego, obdarzane jest przez Was większym zaufaniem? Kto ma autorytet?
- Czy razem z Wami mieszkają rodzice Waszych rodziców?
- Jak są podzielone i według Waszej oceny – czy sprawiedliwie – obowiązki domowe. Jaki jest Wasz udział w tych obowiązkach?
- Jak w gronie rodziny spędza się wolny czas i jakie są najważniejsze jej potrzeby? Do realizacji jakich celów Wasza rodzina zmierza?

Co Wam się nie podoba w życiu i obyczajach Waszej rodziny i do czego nie dopuścicie w przyszłości, zakładając własną rodzinę?

Wypowiedzi drukowane będą w „Świecie Młodych". Jak zwykle zachowam dyskrecję podpisując listy wybranym przez Was pseudonimem (jeśli o to poprosicie), nazwisko i adres pozostawiając do mojej wyłącznej wiadomości. Listy anonimowe nie będą drukowane.

Do zabrania głosu zapraszam wszystkich Czytelników nie tylko wytrawnych członków Ligi Reporterów, na których udział liczę oczywiście najbardziej!

Korespondencję należy adresować: **Liga Reporterów, red. „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa z dopiskiem na kopercie RODZINA I JA**

SZEF
Ligi Reporterów

„Tarnowskie słowiki" we Francji

(PAP) Z trzytygodniowego tourneé po Francji powrócił niedawno do Tarnowa chór chłopięcy „Tarnowskie słowiki". Chór istniejący przy tutejszym pałacu młodzieży zaprezentował pieśni polskie i francuskie. Były to pierwsze zagraniczne występy zespołu działającego od 3 lat.

(k

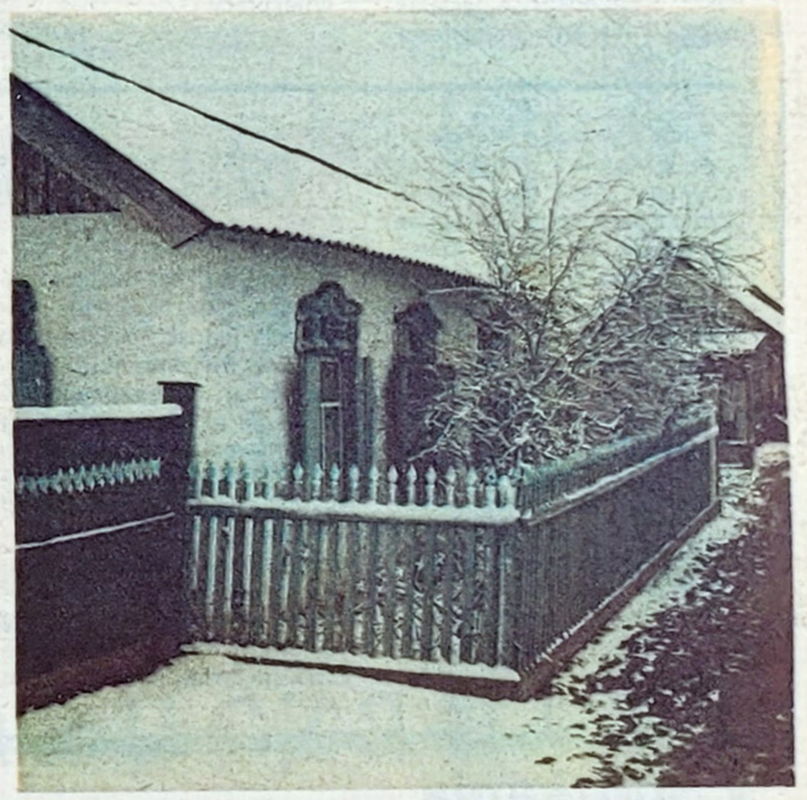

Na str. 5 drukujemy fragment książki Wojciecha Kubickiego pt. „Tajga". Na zdjęciu – przykład typowego drewnianego domu z syperyjskiej Katangi.

Fot. **Janusz Fogler**

Doczekali się sławy w rodzinnym Liverpoolu

USA (PAP) Z wielką pompą nadano ostatnio czterem ulicom w rozbudowującej się dzielnicy Liverpoolu – New Kensington – imiona chłopców ze słynnego zespołu „The Beatles".

Rada miejska Liverpoolu dopiero po wielu wahaniach, pod silnym naciskiem wielbicieli Beatlesów, wyraziła zgodę na uczczenie w ten sposób niewątpliwie najsłynniejszych synów swego miasta. Z obawy przed plagą zbieraczy pamiątek po Beatlesach, tablice z oznaczeniem ulic umieszczono na domach na wysokości aż 3 metrów.

Propozycja z 1977 r. wzniesienia kosztem 40 tys. funtów pomnika została oddalona pod pretekstem, że Beatlesi opuścili rodzinne miasto już po pierwszych sukcesach płytowych.

(kl)

PACHNĄCA I OLBRZYMIA

(PAP) W dżunglach Indonezji wschodniej odkryto niedawno orchideę o niespotykanych rozmiarach. Jej kwiat osiąga wysokość 2,4 m!

Poza wielkością kwiat wyróżnia się również i tym, że aromatycznie pachnie. Jak wiadomo, orchidee, choć mają przepiękne kwiaty, nie pachną, a czasem wydzielają wręcz nieprzyjemną woń.

(kl)

TO BYŁ JEDWAB!

(PAP) Bardzo dobrze zachowane wyroby z jedwabiu, których wiek ocenia się na ponad 2 tys. lat, znaleziono w chińskiej prowincji Hupej, gdzie odkryto nienaruszony grobowiec jakiejś dostojnej damy. Jedwab zachował doskonale kolory: czarny, czerwony, niebieski i żółty. W grobowcu było też wiele drogocennych wyrobów z trzciny, miedzi oraz z porcelany.

(kl)

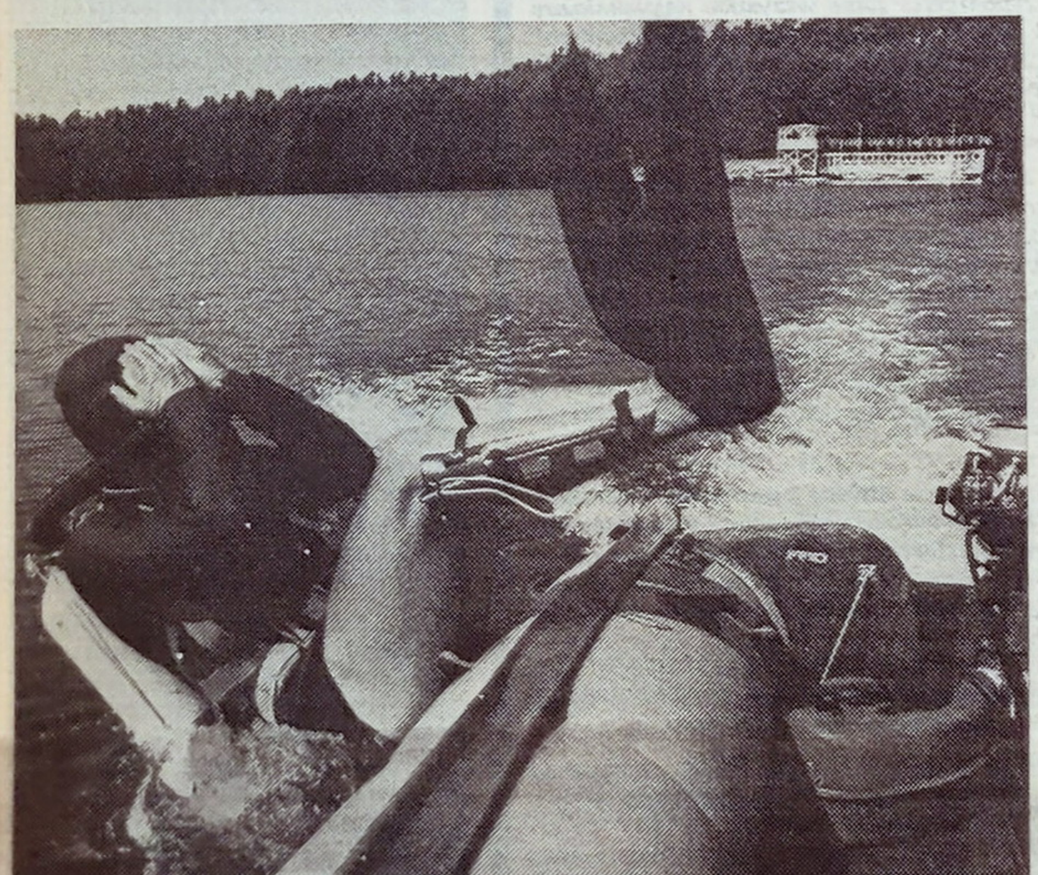

„MOANA" szczegóły na str. 4

Fot. **M. Zieleniewska**

NIE MA TAKIEJ DRUGIEJ...

Do gliwickiego hufca druhna w niebiesko-pomarańczowej chuście przyniosła meldunek: akcja „Harcerze współgospodarzami osiedla, współgospodarzami wsi" zakończona.

Konkurs rozpoczął się już w styczniu, każdy zespół harcerski – drużyna, zastęp, krąg instruktorski, czy szczep mógł wziąć w nim udział. Warunkiem było wykonanie przynajmniej jednego zadania na rzecz osiedla lub wsi. Tematyka i zakres tych zadań były praktycznie nieograniczone, prace powinny jedynie być zgodne z zainteresowaniami i możliwościami samych uczestników.

Największym osiedlem w Gliwicach jest Sikornik. Działa tu 32 Gliwicka Drużyna Harcerska, przy szczepie „Orlik". Trzydzieści sześć osób w niebiesko-pomarańczowych chustach. Żeby móc o tę chustę „zawalczyć", trzeba przejść trzymiesięczny okres próbny. I dopiero kiedy drużyna uzna, że kandydat na harcerza rzeczywiście się sprawdził, następuje uroczyste składanie Przyrzeczenia Harcerskiego.

Dlaczego piszę właśnie o tej drużynie, skoro na terenie miasta pracuje ich przeszło 40? Otóż – jak dowiedziałam się z nieoficjalnych źródeł – 32 GDH ma ogromne szanse na wygranie konkursu. Czy zasłużyła na nagrodę?

Gdy tylko ogłoszono akcję, wszystkie zastępy rozpoczęły opracowywanie planu działania. Lista przyjętych obowiązków była długa, m.in. pod hasłem „co tam zima" zorganizowano gry i zabawy na śniegu dla najmłodszych mieszkańców Sikornika, a dla nieco starszych odśnieżanie chodników. 1 czerwca był Dniem Radości i Uśmiechu, podczas którego obowiązywał „wesoły regulamin" szkolny. Harcerze pomagali i pomagają w dalszym ciągu kilku starszym osobom. Drużyna podjęła się także pielęgnacji osiedlowych zieleńców. Pracują rzeczywiście rzetelnie.

Drużyna specjalizuje się w biegach na orientację, pod tym względem jest najlepsza w Gliwicach. W nagrodę jadą wszyscy na obóz, zorganizowany przez Chorągwiany Klub Biegów na Orientację „Zamonit".

Jedna z najlepiej działających gliwickich drużyn ma też problem: brak harcówki.

– Wydzielono nam maleńką salkę – mówi drużynowa – ale w zimie była tam szatnia, a teraz leżą jakieś rupiecie.

Starali się o pokój, w którym jest skład makulatury, jednak bez rezultatu.

– W zimie jeździmy więc w teren na nartach, wiosną organizujemy zbiórki poza szkołą, na świeżym powietrzu. Z pewnością jest to jakieś rozwiązanie, jednak chcielibyśmy mieć harcówkę z prawdziwego zdarzenia – żali się druh Wojtek.

Mimo większych i mniejszych kłopotów harcerki i harcerze z 32 GDH nie opuszczają rąk, chcą zrobić jak najwięcej, bo jak twierdzą, nie ma takiej drugiej drużyny!

JOANNA NAWRATIL

TU LIGA REPORTERÓW

Cześć!

Dziś ostatnie już wypowiedzi z wakacyjnej Ligi Reporterów poświęconej tegorocznemu latu.

Aktualny temat na reportaż brzmi: RODZINA I JA, zapraszam do udziału, szczegóły na 1 str. „ŚM".

SZEF
Ligi Reporterów

PRAWDZIWA WARTOŚĆ CHLEBA

Podzielam los innych wiejskich dzieci, które nigdzie nie wyjechały – pomagałem w żniwach. Praca to naprawdę ciężka, tym cięższa w moim przypadku, iż gospodarstwo rodziców nie jest zmechanizowane i zboże kosimy metodą tradycyjną tj. kosami. Ten kto nie czuł bólu w krzyżu, smaku potu w ustach i bólu pokłutych nóg i ramion, ten nie może znać prawdziwej wartości chleba! Ja wiem, ile trudu ludzkiego znajduje się w przysłowiowej okruszynce chleba.

Ale praca na wsi podczas wakacji, to nie tylko żniwa, ale także i sianokosy, pasienie krów, doglądanie inwentarza i wiele, wiele innych, drobnych spraw. Mimo iż pracy na wsi w lecie jest dużo, znajdowałem czas i dla siebie. Czytałem książki, „Świat Młodych", chodziłem do lasu na wycieczki. W niedzielę organizowaliśmy z kolegami rajdy rowerowe w różne ciekawe miejsca w naszej okolicy, a także zabawy (wykorzystywaliśmy przede wszystkim te ze „Świata Młodych").

Uważam moje wakacje (choć były trochę monotonne) za udane, przede wszystkim dzięki satysfakcji jaką odczuwam po ciężkiej, ale koniecznej i pożytecznej pracy.

ROMAN

DWA SPOTKANIA

Wakacje spędziłem w Szklarskiej Porębie, która urzeka każdego człowieka kochającego przyrodę. Opowiem o dwóch najważniejszych przeżyciach.

Pierwszym z nich była wycieczka na Zamek Chojnik. Jest on położony na wysokiej górze o tej samej nazwie i wybudowany na granitowej skale. Droga do ruin zamku prowadzi przez Karkonoski Park Narodowy. Piękno przyrody towarzyszącej piechurom – to już pierwsza przygoda. Podczas marszu napotkałem grupy skał o „groźnym" kształcie. To „zbójeckie skały". Ich wnętrze stanowi schronienie, którego nie można odkryć, nie wiedząc o jego istnieniu. Przemarsz wąskim tunelem podziemnym o długości około 20 m dostarcza mocnych wrażeń, ponieważ wewnątrz panuje ciemność i chłód. Kiedy jednak wydostajemy się trudnym wyjściem na powietrze – śmiejemy się z doznanych obaw.

Zamek już ze zbocza góry wygląda bardzo pięknie i majestatycznie. Zniszczony i „zdobyty" przez naturę porośnięty jest mchem i pnączami. Opowiadanie o potędze zamku w XVII wieku wzbudziło we mnie lęk przed zniszczeniem, jakiego dokonało uderzenie pioruna i pożar. Od tego czasu, z powodu zabobonnych wierzeń ludzi, zamek nie został odbudowany; nie można było odbudować twierdzy dotkniętej „boską karą". Jednak 600-letnie ruiny są również piękne. Widziałem tu bramy, stajnię, arsenał, baszty, kaplicę, pomieszczenia mieszkalne i gospodarcze, stołp (wieża) i publiczny pręgierz – wszystko zburzone.

W trzech częściach zamku otoczonego osobnymi murami znajdowały się cysterny na wodę zmagazynowaną dla walczącej załogi. (Podczas zwiedzania spostrzegłem, że cysterny pełne są śmieci, które przedstawiały brzydki widok!). Na końcu udaliśmy się na stołp. Z tej wysokości zieleń zlewa się w jedną całość poprzecinaną drogami. Domy są jak śmieszne, dziecięce klocki, a góry – jak szare, wzburzone fale. Najpiękniejszymi szczytami widocznymi z wieży są: Szrenica, Łabski Szczyt, Wielki Szyszak, Śmielec i Śnieżka. O ich nieprzemijającym pięknie opowiadał nam ciekawie nasz miły przewodnik, pan Ryszard Nowak. Zamek Chojnik, dzięki swej roztropnej budowie, która świadczy o mistrzostwie budowniczych, nigdy nie został zdobyty. Droga powrotna była dla mnie bardzo przyjemna, bo wiedziałem już, że w tym dniu przeżyłem nowe przygody.

W górach bywają dni, gdy słońce chowa się za czarne chmury i zaczyna padać deszcz. W takich dniach zazwyczaj udawałem się na spotkania z sympatycznym i bardzo zajmującym gawędziarzem, panem Tadeuszem Steciem. W czasie prelekcji wyświetlał on barwne przeźrocza. Widać było, że kocha przyrodę i posiada ogromną wiedzę o kraju. Wielka szkoda, że nie wznowiono bardzo ciekawych prac p. Stecia o tematyce krajoznawczej.

Pragnąłem napisać o dwóch interesujących, choć tak różnych rzeczach – o naturze i o człowieku. Chciałem ukazać, że znaleźć przygodę nie jest trudno.

PAWEŁ BERTLEWSKI (lat 13)
Gdańsk

CZUJĘ SATYSFAKCJĘ

Moje tegoroczne lato spędziłam w domu i wcale z tego powodu nie rozpaczałam! Wprost przeciwnie – jestem zadowolona. Ponieważ mieszkam na wsi, więc miałam „zapewnioną" pracę przy żniwach. Właściwie to dopiero w tym roku zaczęłam je trochę lubić. Zawsze gdy widziałam całe pole snopów do zestawiania, to dostawałam bólu głowy, a w tym roku czuję ogromną satysfakcję, kiedy te snopy zostały już pozestawiane i zwiezione z moją pomocą, i z moim udziałem. Cieszyłam się, kiedy była pogoda i można było żniwa sprzątnąć „suchą garścią".

Niektórzy moi koledzy i koleżanki uważają, że wakacje spędzone w domu to zupełna „klapa". Ja jednak kocham takie wakacje. Po żniwach przeważnie miałam masę wolnego czasu i czas ten poświęciłam na wykonywanie takich zajęć, które najbardziej lubię. No więc już od kilku lat nieodłącznym moim towarzyszem podczas całych wakacji są książki. Uważam, że to właśnie one sprawiają, że te domowe wakacje nigdy nie są dla mnie nudne. Wiele czasu poświęcam także mojemu drugiemu „konikowi", którym jest akordeon. Ten znów zawsze dobrze leczy moje smutki i tęsknoty. Dość dużo w czasie wakacji zajmowałam się także sportem, a zwłaszcza pływaniem. W piękne słoneczne dni chodziłam na moją ulubioną plażę, na której spędzałam po kilka godzin.

W czasie lata staram się zawsze aby mój pokój wyglądał inaczej niż w ciągu roku szkolnego. Dlatego zupełnie go przemeblowuję i obwieszam ziołami, trawami i kwiatami, które jak mówi mój kuzyn „namiętnie zbieram". Na te dwa miesiące moje małe królestwo zmieniło się w „chatynkę czarownicy".

Do szkoły przyszłam zadowolona, opalona i uśmiechnięta, a w wypracowaniu pt. „Jak spędziłam wakacje" piszę... „tegoroczne wakacje spędziłam w domu..." Brzmi to nudnie i pachnie rezygnacją, a jednak...

KRYSTYNA ZANDER (14 lat)
członek Ligi Reporterów

Biuro POD

POSZUKUJĘ...

... książek z literatury fachowej. Chodzi mi o książki z serii „Moje Hobby". Hoduję kanarki, papużki, faliste, króliki i gołębie, a w księgarniach nie ma książek fachowych, są techniczne, historyczne, popularnonaukowe i polityczne. A ja szukam książek o ptakach i zwierzętach. Interesują mnie książki przyrodnicze. Podobno było ich dawniej w bród, a teraz brak. Słyszałem, że były także takie książki jak: „Atlas Ptaków", „Atlas zwierząt" itp. Proszę mi pomóc.

Eugeniusz Gawlik
Modrzyce
ul. Okrężna 1
67-106 Otyn

... książek do języka polskiego, biologii, geografii, historii, chemii dla II kl. LO.

Anna Karcz
Czułów 127
32-061 Rybna
woj. Kraków

REDAKCYJNA POCZTA

CHCĘ BYĆ PRAWDZIWA

Nie wiem jak napisać o tym co mnie trapi od dawna. Może lęk. W szkole udaję. Udaję wesołą, pogodną, trochę zwariowaną, a nawet „stukniętą". Za to w domu zmieniam się zupełnie. Z radości życia pozostaje smutek i rezygnacja. W domu mam dwie pasje: książki i marzenia. Bo ja właściwie tylko tym żyję. A nauka? Po prostu się nie uczę. No właściwie, to nie jest tak źle, ale przeważająca liczba stopni na świadectwie, to trójki. Na zewnątrz wyglądam na kogoś, kto jest bezgranicznie szczęśliwy, nie ma żadnych trosk. To nieprawda (jestem jedynaczką, jeśli to ma jakieś znaczenie). Ech, zaczyna mnie to wszystko nudzić. Nie wiem po co właściwie piszę ten list. Wiem tylko jedno, że chcę być prawdziwa. Szukam pomocy w drodze do prawdy. Na razie plączę się w labiryncie zakłamania. Czy z niego wreszcie wyjdę? Nie wiem. Na razie żyję książkami i marzeniami. Nie zostaje mi nic innego jak książki, marzenia i... łzy.

Aga

URZĄDZA ZABAWĘ SOBIE I SWOIM KOLEGOM

Ela, przeczytałam Twój list i doszłam do wniosku, że jesteś bardzo naiwna. Nie wiem, może się mylę, ale wydaje mi się, że Krzysiek, chłopak Twojej koleżanki, po prostu sobie z ciebie żartuje, a może żartuje również z Kaśki. Wydaje mi się, że Kaśka (nie obraź się) jest osobą nieco inteligentniejszą niż Ty, i to jest powód, dla którego tak bardzo Ci na niej zależy. Więc uważaj – jeżeli sprawę Krzyśka rozwiążesz źle, możesz stracić przyjaciółkę. Uwierz mi, znam chłopca, który podrywa dziewczyny mniej niż on inteligentne (o, on jest doprawdy niezwykle inteligentny, i często te wykorzystuje) tylko po to, aby zrobić zabawę sobie i swoim kolegom, a także aby popisać się przed moimi koleżankami i przede mną. On nie ma złych zamiarów, po prostu śmieszą go te dziewczyny, które każdy jego uśmiech biorą za dowód miłości, a na każde słowo do nich skierowane reagują rumieńcem i jąkaniem. Moim zdaniem, taki jest również Krzysiek, a ma jeszcze tę przewagę nad moim kolegą, że jest starszy i to imponuje dziewczynom. Nie mogę zrozumieć jego tłumaczenia, że z Kaśką chodzi „na odczepnego", a Ty jesteś dziewczyną z jego snów. Zwróć uwagę, że on poznał Cię po Kaśce, a więc z początku albo czuł coś do niej (w co wątpię), albo nabierał ją jak Ciebie. Osobiście nie wyobrażam sobie sytuacji kiedy chłopak, któremu zależy na dziewczynie, obejmuje ją na ulicy, chociaż prawie się nie znają. Powinien zdawać sobie sprawę z tego, że może ją nudzić. Ja na przykład nabrałabym do niego odrazy i pogardy po takim postępku, gdyż świadczy to o nieszanowaniu Ciebie. Uważa, że może tak Cię objąć, bez wyjaśnień, jakbyś była przedmiotem, zabawką. Poza tym jest bardzo pewny siebie, a to cecha tzw. „zawodowych podrywaczy". Może wyda Ci się nieuprzejme to, co teraz Ci powiem, ale to co napisałaś o głosie Krzyśka „pełnym rozpaczy" i o jego „żałośnie patrzących, niewinnych oczach" to jest tylko twój wymysł, urojenie. Rozumiem Cię doskonale, ale wydaje mi się, że naprawdę Krzysiek nie jest wart tego, abyś o nim myślała, uważam, że powinnaś porozmawiać z Kaśką; dowiesz się wtedy, czy Krzysiek się nie zgrywał i będziesz mogła uczciwie załatwić sprawę. Jeszcze raz Ci radzę: nie myśl o Krzyśku, ale pomyśl sobie, że on jest obrzydliwy. Ja też już nieraz tak zapominałam.

Agnieszka

Spotkania

ALE SZTUKA!

– Ale sztuka! – powiedział do mnie w pewnej chwili znajomy, kiedy minęła nas na ulicy zgrabna i znakomicie się prezentująca dziewczyna.

Zacząłem dziś od tego zdania, ale od razu usprawiedliwiam się z góry, że już odchodzę od zasugerowanej nim tematyki. To była taka przynęta dla tych, którzy czytają zawsze tylko pierwsze zadania, wyrokując po nich, czy reszta warta jest ich straty czasu. Może tym razem, mimo że podstęp się już wydał, przeczytają wszystko do końca. A będzie to spotkanie ze sztuką spod znaku muz, też zresztą zapewne zgrabnych i znakomicie się prezentujących cór Zeusa i jednej z tytanek. Było ich właściwie dziewięć, choć powstawanie nowych dziedzin sztuki nieco zwiększyło ich liczbę. Pierwsza z nowych muz naszej cywilizacji „opiekuje się" filmem.

Właśnie w towarzystwie entuzjastów dziesiątej muzy spędziłem kilka dni mijającego już lata. Było to w czasie Koszalińskich Spotkań „Młodzi i film", które zorganizowano w tym roku po raz dziesiąty. W sali, w której odbywały się konkursowe projekcje – konkursowe, bo jury złożone m.in. z nauczycieli, studentów i uczniów przyznawało tam swoje nagrody – spędziliśmy razem wiele godzin, oglądając i dyskutując na przemian. Tegoroczne filmy mnie osobiście jednak zawiodły i dlatego nie o nich chcę dziś z Wami rozmawiać.

W czasie odbywającego się równolegle z przeglądem filmów seminarium, w którym brali również udział uczniowie szkół średnich, pragnący wzbogacić swą wiedzę filmową, miały miejsce trzy spotkania z wybitnymi naukowcami, którzy przedstawili trzy aspekty naszych kontaktów ze sztuką, trzy sfery możliwości, jakie ona przed nami otwiera.

Sztuka jako styl życia... Pamiętacie, kiedy zachęcałem Was do wakacji ze stylem, właśnie dla spotkań ze sztuką sugerowałem znalezienie w nich miejsca. Byli pisarze starający się nie kończyć dnia bez zapisania choć jednej stronicy, znam też czytelników, którzy nie odmówią sobie codziennej porcji lektury do poduszki. A własne przyzwyczajenia to początek własnego stylu, który przesiąka nie tylko literaturą.

O takich stylowych wakacjach napisała do mnie Magda.

„Więc wtedy pakujesz manatki i ruszasz w góry, głównie po to, żeby się zmęczyć, no a czasem udaje Ci się zobaczyć fantastyczne widoki, skały, drzewa i stawki, albo kruka, orła, kozicę, pustułkę, no a jak masz dużo szczęścia to świstaka. Też się może tak zdarzyć, że zobaczysz piękne słońce i pomyślisz tak: to jest to samo słońce, to jest to pyzate i jaskrawe słońce, które w Arles malował van Gogh. To słońce Gauguina i van Gogha. No i też to samo, które czasem widywał Cezanne. Jest po prostu tak, że przypominasz sobie wszystkie najpiękniejsze słońca świata, z obrazów, z muzyki i książek, czy ja wiem, może z „Gaju oliwnego" Picassa, z bluesa Lestera Younga, ze „Słońce też wschodzi" Hemingwaya. Przypominasz sobie całe mnóstwo rzeczy, tych przyjemnych i też to, o czym potem na jakiś czas zapomnisz..."

Sztuka jako spotkanie... To właśnie druga możliwość stojąca przed każdym z nas Dla Magdy to spotkanie z van Goghiem, Gauguinem, Cezannem, Picassem, Youngiem, Hemingwayem. Dla mnie to spotkanie z Magdą, które bez naszych kontaktów ze sztuką nie byłoby możliwe. Tak jak w Koszalinie spotkanie z kinem przybierało kształt nie tylko kolejnych projekcji, ale spotkań z osobowością twórców poszczególnych filmów (nawet jeśli oni sami nie zaszczycili imprezy swą obecnością) i nas widzów między sobą. Siedząc obok siebie, razem przeżywając te same emocje, mając te same wątpliwości, tym samym ulegając fascynacjom, łatwiej nam było ze sobą spotkać się już nie tylko w płaszczyźnie sztuki filmowej, od której przecież tak blisko do życia.

Sztuka jako zwielokrotnienie życia... To trzecia otwarta przed nami możliwość. Magda obcując tak z przyrodą, obcuje z nią nie tylko na swój sposób, ale i na sposób tych, których dokonania w sztuce przywołuje. Siedząc na ciemnej widowni, żyjemy niemal życiem filmowych bohaterów. Czujemy jak oni, myślimy jak oni. Ale nie tylko. Również jak ten, który ich wymyślił. Żyjemy nie tylko za siebie.

Wiem, że uprościłem tutaj tezy trzech spotykających się z Waszymi koleżankami i kolegami w Koszalinie profesorów. Jednak ramy naszego spotkania nie pozwalają na szersze rozwinięcie tematu, o którym napisano już niejedną księgę.

Ale kupiliście „Świat Młodych" – może to już coś ze stylu... Przeczytaliście do końca ten tekst – może to już coś ze spotkania... Może teraz myślicie o tym, o czym myślała Magda, ja, uczestnicy koszalińskiej imprezy...

– Ale sztuka! – szepnął na całą salę ktoś z widzów na widok jednej z aktorek. To zdanie jest tylko dla tych, którzy wszystko czytają od końca.

Jarek

Na mapie świata

Ostatnia lekcja
Pugwash w Warszawie
Jakim był?

Zwykle w rubryce „Na mapie świata" przedstawiamy najważniejsze wydarzenia światowe, dziś odstępujemy od tej zasady. Powodem tej zmiany są nasze polskie sprawy.

Już na wiele dni przed rocznicą podpisania porozumień gdańskich, szczecińskich i jastrzębskich rosło w kraju napięcie. Antysocjalistyczne podziemie rozpoczęło nowe przygotowania do konfrontacji, do kolejnej próby sił. Miały to być największe od czasu wprowadzenia stanu wojennego masowe wystąpienia klasy robotniczej przeciw władzy. Stało się inaczej. Zakłady pracy nie usłuchały tych wezwań. Na ulicę w dniu 31 sierpnia wyszły stosunkowo nieliczne grupy, przede wszystkim ludzi młodych. Nie pomogły wezwania władz państwowych do zachowania spokoju, nie pomógł również autorytet Kościoła nawołującego do rozwagi. Znowu zwyciężyły emocje i brak politycznego myślenia kategoriami racji stanu. Można zrozumieć stosunek niektórych byłych działaczy związkowych do władzy. Demonstrowali ją już przed 13 grudnia 1981 roku. Stan wojenny powstrzymał ich zapędy w ataku na socjalistyczne państwo. Pogodzić się z tym dziś trudno. To zrozumiałe. Stąd próby zawrócenia historii, powrotu do nie tak dawnych „dobrych czasów". A jakie były to przecież wszyscy dobrze pamiętamy. Chaos, rozgardiasz, upadek, a w tym zamęcie tylko jedno co nam się udawało, to robienie strajków. Stan wojenny odwrócił bieg wydarzeń, zastopował dalszy rozkład struktur państwowych i co najważniejsze, uchronił nas być może od najgorszego – wojny domowej. Tę oczywistą prawdę zrozumiała większość społeczeństwa. Jest to wynik lekcji historii, jaką w ostatnich dwóch latach przeszliśmy wszyscy. Miejmy nadzieję, że doświadczenia 31 sierpnia były ostatnią taką lekcją. Znakomity nasz pisarz epoki pozytywizmu, Bolesław Prus, napisał w swych kronikach: „Uczucia polityczne należą do najgwałtowniejszych i mogą stać się potęgą tylko burzącą, jeśli nie zapanuje nad nimi polityczny rozum. Pierwszym warunkiem politycznego rozumu jest spokojne i rozsądne wysłuchanie jak największej liczby – różnych zdań." Mimo iż słowa te napisane zostały przed stu laty, nic nie straciły na swej aktualności.

W dniach od 26 do 31 sierpnia obradowała w Warszawie 32 Konferencja Pugwash w sprawie nauki i problemów światowych. Uczestniczyło w niej około 170 uczonych z 41 krajów. Obrady konferencji koncentrowały się wokół problematyki rozbrojenia i kontroli zbrojeń nuklearnych, bezpieczeństwa europejskiego, niekorzystnych skutków zbrojeń dla rozwoju ekonomicznego Krajów Trzeciego Świata oraz nowych, szczególnie groźnych technologii zbrojeniowych, jak np. bronie chemiczne, biologiczne, rakiety antybalistyczne, bronie kosmiczne... Konferencja zajmowała się również odpowiedzialnością uczonych za rozwój nowych systemów broni i za rozbrojenie.

Ruch uczonych w obronie pokoju narodził się w okresie tzw. zimnej wojny, a więc w latach pięćdziesiątych. Wówczas to uczeni z całego świata uświadomili sobie zagrożenie, jakie tworzy dla ludzkości postępujący wyścig zbrojeń jądrowych. W grudniu 1954 roku brytyjski matematyk i filozof, laureat Nagrody Nobla z 1950 roku, Bertrand Rassell wystąpił w rozgłośni BBC z przemówieniem zatytułowanym „Człowiek w niebezpieczeństwie". Wskazał w nim na zastraszające skutki ew. wojny jądrowej, odczytał manifest do uczonych świata i wezwał ich, aby zebrali się na naradę i wspólnie ocenili niebezpieczeństwa wynikające z rozwoju broni masowej zagłady oraz uchwalili rezolucję apelującą do rządów o pokojowe, a nie drogą wojny, regulowanie spraw spornych. Manifest i rezolucję poparli tacy światowej sławy fizycy jak Albert Einstein, Max Born, Fryderyk Joliot-Curie, Linus Pauling, Leopold Infeld (polski fizyk współpracownik Einsteina) i wielu innych. Uczeni przyjęli propozycję amerykańskiego działacza pokojowego i wielkiego przemysłowca Cyrusa Eatona, aby spotkanie odbyło się w jego rezydencji w kanadyjskiej miejscowości Pugwash. Tam właśnie w 1957 roku zebrała się pierwsza konferencja uczonych. Od tego czasu ruch uczonych na rzecz pokoju przyjął nazwę Pugwash. W ciągu 25 lat działalności Pugwash odbyło się ponad 70 konferencji, sympozjów i innych spotkań z udziałem 1800 uczonych i polityków. Warszawskie spotkanie odbyte w 25 rocznicę powstania ruchu miało nie mniejsze znaczenie niż to pierwsze. Dziś znowu zagrożenie dla pokoju światowego jest tak samo silne jak w okresie zimnej wojny. My, Polacy, pogrążeni w swych kłopotach wewnętrznych często nie zdajemy sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. A jest ono ogromne, przy nim nasze polskie sprawy wydają się śmiesznie małe. Stanowisko uczonych na konferencji w Warszawie w sprawie walki o pokój było jak zawsze niezmienne. Uchwaloną deklarację podpisało 97 laureatów Nagrody Nobla – najwyższych autorytetów współczesnego świata. Miejmy nadzieję, że i tym razem ich głos wpłynie na pojednawcze stanowisko rządów mocarstw atomowych.

Pierwszego września zmarł w Warszawie w wieku 77 lat Władysław Gomułka, pseudonim „Wiesław". Niezależnie od poglądów i sympatii, wszyscy autorzy wspomnień o Gomułce stwierdzają, że był to w powojennej historii Polski najwybitniejszy polityk i działacz partyjny. Twórca Polskiej Partii Robotniczej, a następnie jej pierwszy sekretarz jeszcze w czasie okupacji tworzył wizję przyszłej Polski. Wizję tę realizował w pierwszych latach powojennych, do chwili gdy w 1948 roku oskarżony został o tzw. „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne". A jemu chodziło o wypracowanie polskiej drogi rozwoju socjalizmu. Po kilku latach więzienia, gdy okres stalinowski odchodził w przeszłość, Wł. Gomułka znowu wrócił na scenę życia politycznego. Wrócił na fali polskiego października w 1956 r. Był wówczas najbardziej popularnym przywódcą, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Zapoczątkowanych w 1956 roku reform, niestety, nie doprowadził do końca. Dziś za wcześnie na ocenę całego jego życia, jego wkładu w dzieło budowy nowej, sprawiedliwej Polski. Na pewno był to człowiek o prawym charakterze, surowy, może zbyt apodyktyczny, ale skromny w życiu codziennym. I tej skromności wymagał od swoich współpracowników. Odchodził od władzy w tragicznym grudniu 1970 roku, co niewątpliwie wpłynęło na przyćmienie wszystkiego co zrobił w przeszłości dla Polski. Ale odchodził zostawiając kraj suwerennym gospodarczo, bez długów, bez afer złodziejskich. Mówi się, że Gomułka hamował rozwój gospodarczy kraju, że był przeciwny szybkiemu rozwojowi. Może to i prawda, ale dziś z perspektywy widać wyraźnie, że był to trzeźwy realista.

ST. BOROWIECKI

Nauka może być zabawą i relaksem czyli o najnowszych metodach nauczania

W sali panuje półmrok. Uczniowie leżą na materacach, przykryci kocami, w pozycji relaksowej. Nauczyciel przyciszonym, spokojnym głosem opowiada po niemiecku bajkę. Gdy w opowiadaniu pojawia się nieznane słówko, tłumaczy je. Jego uczniowie leżą wygodnie, z zamkniętymi oczami i mają za zadanie wyobrazić sobie to, o czym mówi. Kiedy opowiadanie dobiega końca, nauczyciel prosi, aby zacisnęli mocno pięści, wzięli trzy głębokie oddechy i otworzyli oczy.

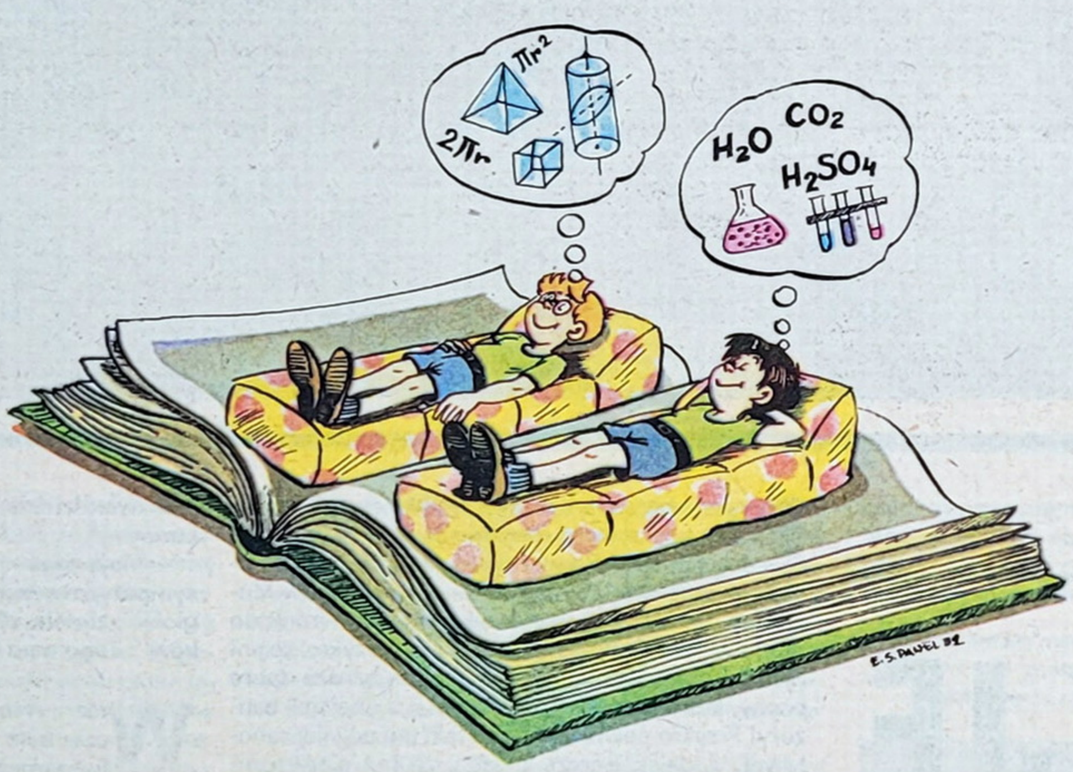

Filolog i psycholog – instruktorzy kursu – prowadzą naukę języka niemieckiego w sposób absolutnie odbiegający od tradycyjnych metod. Nie ma ławek, nie ma tablicy. Jest przestronna sala, po której swobodnie można się poruszać. Wkuwanie słówek, zmora uczących się obcego języka, połączone z ćwiczeniami ruchomymi – jest zabawą. Choć zajęcia, na których byłam, trwają trzy godziny lekcyjne bez przerwy, uczniowie wychodzą z nich wypoczęci, zadowoleni, w znakomitych humorach. Jest to świetna zabawa, przyjemne odprężenie, a co najważniejsze ludzie przyswajają sobie obce słówka, struktury gramatyczne, uczą się mówić.

Czy to możliwe? Czyżby rewolucja w metodyce nauczania, która pozwoli młodzieży szkolnej, nawet tej leniwej i niedostosowanej do szkolnych rygorów, lecieć jak na skrzydłach na lekcje będące wspaniałą zabawą i miłym spotkaniem towarzyskim.

No, no, nie rozpędzajmy się w naszych marzeniach za daleko. A jednak... Postanowiłam w imieniu tysięcy uciśnionych uczniów zbadać sprawę do końca.

Proszę więc o rozmowę doktora nauk medycznych, pana Wiktora Bodnara, który kieruje Zespołem Psychoprofilaktyki i Psychoterapii przy Towarzystwie Higieny Psychicznej. Dr Bodnar jest współautorem tych rewelacyjnych metod nauczania.

„Świat Młodych": *Czy to możliwe, że człowiek może się czegoś nauczyć bez tradycyjnego wkuwania, ślęczenia nad podręcznikami, że nauka może być zabawą i relaksem?*

Dr Wiktor Bodnar: Odpowiem pani na to pytanie posługując się następującą historyjką. Proszę sobie wyobrazić, że grupa ludzi przygotowuje się do wysokogórskiej wyprawy wspinaczkowej. Gromadzą pieniądze, sprzęt, przygotowują się kondycyjnie do tej wyprawy, gdyż wiedzą, że będzie ona jednym pasmem sytuacji trudnych. Czeka ich wiele niebezpieczeństw – zagrożenie lawinowe, rozrzedzone powietrze, wielki wysiłek fizyczny. Gdy ekspedycja wyrusza, okazuje się, że wielu nie wytrzymuje fizycznie i psychicznie. Powstają konflikty w grupie. Niektórzy przeklinają wręcz dzień, w którym zdecydowali się podjąć tę wyprawę. A jednak, gdy wracają, marzą o następnej. Było to dla nich wielkie, wspaniałe przeżycie.

Teraz sytuacja inna. Sąd skazuje przestępcę na odbycie kary. Wyrok brzmi: wyprawa wspinaczkowa. Proszę mi wierzyć, że jest to kara straszliwa, ponieważ z takiej wyprawy skazany być może nie wróciłby żywy. Dlaczego? Istnieje coś takiego jak nastawienie psychiczne – człowiek chce być w jakiejś sytuacji, lub nie chce. Więzień skazany na wyprawę alpinistyczną może jej nie przeżyć, w przeciwieństwie do alpinisty, który pokonuje trudności z własnego wyboru.

A w jakiej sytuacji są uczniowie w szkole? Ilu czuje się więźniami, a ilu alpinistami?

A jak zachowuje się dorosły, który postanawia nauczyć się języka i zapisuje się na kurs? Może się wydawać, że człowiek, który sam decyduje się na naukę, płaci za to pieniądze, inwestuje swój czas, powinien chłonąć wiedzę. Tymczasem okazuje się, że wcale nauka mu nie idzie, męczy się, boli go głowa, zasypia ze słuchawkami na uszach w laboratorium językowym i wreszcie zaczyna opuszczać lekcje. Zachowuje się tak, bo rozpoczynając naukę wszedł w sytuację więźnia i jednocześnie swojego więziennego dozorcy. Dozorcą młodzieży są rodzice i nauczyciele, dorośli tego „dozorcę" tworzą sami w sobie.

Nasz Zespół Psychoprofilaktyki i Psychoterapii postawił sobie za zadanie wypracowanie takiej techniki i metody nauczania, która oparta jest wyłącznie na nagrodach. Nie stosujemy kar i metod opartych na wywoływaniu lęku przed karą. Zadaliśmy sobie pytanie: na czym to polega, że człowiek w jakiejś sytuacji czuje się jak skazany więzień, nawet jeśli znalazł się w niej z własnego wyboru? Nasze badania i analizy wykazały, że o stosunku człowieka do danej sytuacji decydują dwa czynniki: pierwszy to jest poziom stresu, a drugi to tzw. układ nastawień, oczekiwań.

„ŚM": *O stresie mówi się i słyszy dużo, ale tak naprawdę, to niewiele o nim wiemy. Wiemy, że stres jest obecny w naszym życiu, że może być przyczyną zaburzeń zdrowotnych, ale też wiemy, że bez stresu nie jest możliwy rozwój człowieka. Czy zatem nauka bez kar, bez lęku przed niedostateczną oceną, może być efektywna?*

WB: Znowu posłużę się porównaniem. Jest tama na rzece i napędzana wodą turbina elektryczna. Jeśli poziom spada, turbina nie produkuje odpowiedniej ilości energii. Jeśli wody jest za dużo, to wtedy występuje z brzegów, powodując różne szkody. Ze stresem jest tak, jak z tym poziomem wody. Musi być obecny, ale w takim stopniu, żeby nie czynił szkody organizmowi. Tama, o której mówiłem, ma wbudowane systemy regulacyjne, które utrzymują odpowiedni poziom wody w porze deszczowej i suszy. Systemem regulującym poziom stresu człowieka na naszych zajęciach są ćwiczenia jogi i inne ćwiczenia fizyczne, gimnastyczne, które relaksują, a także wpływają na zwiększenie koncentracji. Posługujemy się zestawem ćwiczeń, które służą temu, aby w całym procesie uczenia człowiek czuł się tak, jak dobrowolny tatternik, a nie skazany więzień. Uczenie odbywa się w atmosferze radości, satysfakcji, zadowolenia z siebie. Dzięki tym ćwiczeniom otwieramy też rejony pamięci w normalnych warunkach niedostępne.

Nie unikamy sytuacji trudnych, wręcz odwrotnie stres musi przyjmować odpowiedni poziom, ale tej sytuacji trudnej nie towarzyszy kara czy złość na siebie. Wysiłek przy ćwiczeniach sportowych, zaangażowanie emocjonalne przy grach rywalizacyjnych, specyficzne odczucia towarzyszące różnym ćwiczeniom oddechowym i masażom, są właśnie źródłem sytuacji trudnej, ale jednocześnie także przyjemności i radości. Źródłem przyjemności jest również przyjacielska atmosfera w grupie. Zajęcia odbywają się w takich warunkach, że bardzo często dochodzi do sympatii i przyjaźni między uczniami. Jest to bardzo potrzebne, bo tym chętniej ludzie przychodzą na zajęcia, a poza tym nie wstydzą się swoich błędów, czują się w grupie dobrze.

„ŚM": *Czy jest jakaś szansa na wprowadzenie tych technik do naszego szkolnictwa? Czy możemy dać naszym czytelnikom jakąś nadzieję?*

WB: Zaczęliśmy realizację naszego programu od języków, ponieważ jesteśmy instytucją samospłacającą się, a nauka języka jest towarem „chodliwym". Nie udało nam się do tej pory sprzedać programów nauki matematyki i chemii, choć mamy je opracowane. Nasz zespół może szkolić nauczycieli – po to przecież istniejemy. Metody stosowane przez nas nie wymagają żadnych rewolucji, można je wprowadzać stopniowo, jako przerywniki w pracy konwencjonalnych klas. Jeśli zsunie się ławki i rozłoży koce, powstaje sala do ćwiczeń jogi. Odpowiedź na pytanie, które pani zadała, zależy od nauczycieli. My jesteśmy do dyspozycji.

Rozmawiała: **HANNA MIERZEJEWSKA**

Rys. **Sz. Paweł**

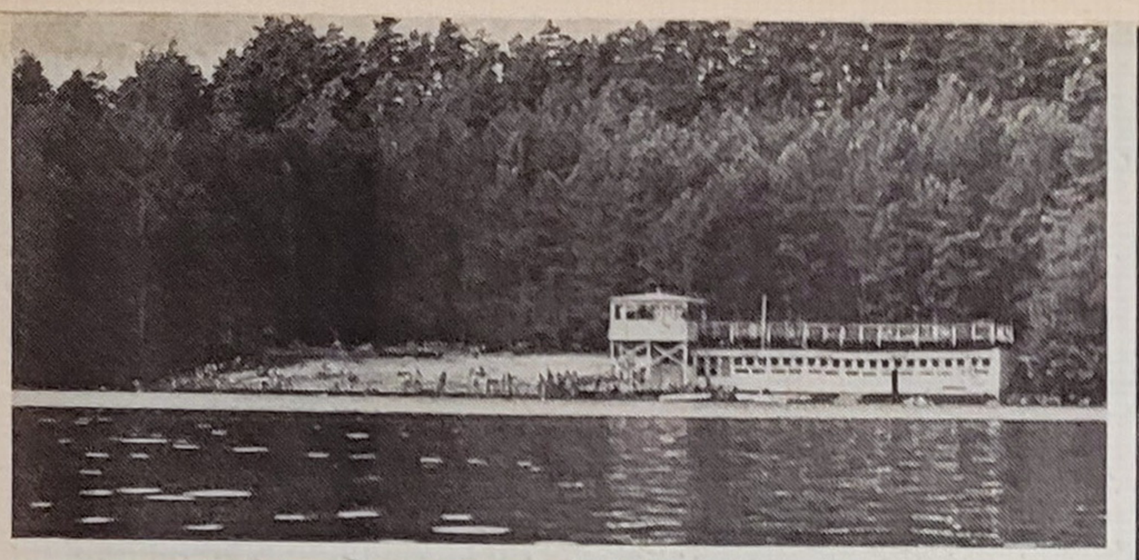

MOANA

Moana to nazwa 11 starszoharcerskiej drużyny płetwonurków przy Hufcu Wrocław – Stare Miasto.

Drużyna istnieje dopiero rok. Zdjęcia, które oglądacie, zostały wykonane na jej pierwszym obozie nad jeziorem Pluszcze. Zanim jednak harcerze zamienili się w żaby, cały rok pilnie trenowali na basenie. Ćwiczyli wydmuchiwanie wody z maski, zanurzanie się pod wodą zwane „scyzorykiem", pływanie w płetwach, masce i fajce. Poznawali zawiłe arkana posługiwania się aparatem powietrznym do swobodnego nurkowania. Na zajęciach teoretycznych trzeba było opanować znaki porozumiewania się pod wodą, nauczyć rozumieć tabele dekompresji, poznać zjawiska fizjologiczne i fizyczne rządzące w wodzie.

Przed wyjazdem na obóz harcerzy z 11 SHDP poratowali koledzy z Akademickiego Podwodnego Klubu „Pirania" przy SZSP, pożyczając sprzęt. Harcerze – płetwonurkowie nie ograniczali swojej działalności tylko do szkolenia umiejętności nurkowych, społecznie pełnili warty ratownicze, oczyszczali jezioro. Pogoda dopisała, woda była wyjątkowo ciepła... roczny trud owocował w harcerskiej przygodzie pod wodą. **(ww)**

FOTOREPORTAŻ MARYLI ZIELENIEWSKIEJ

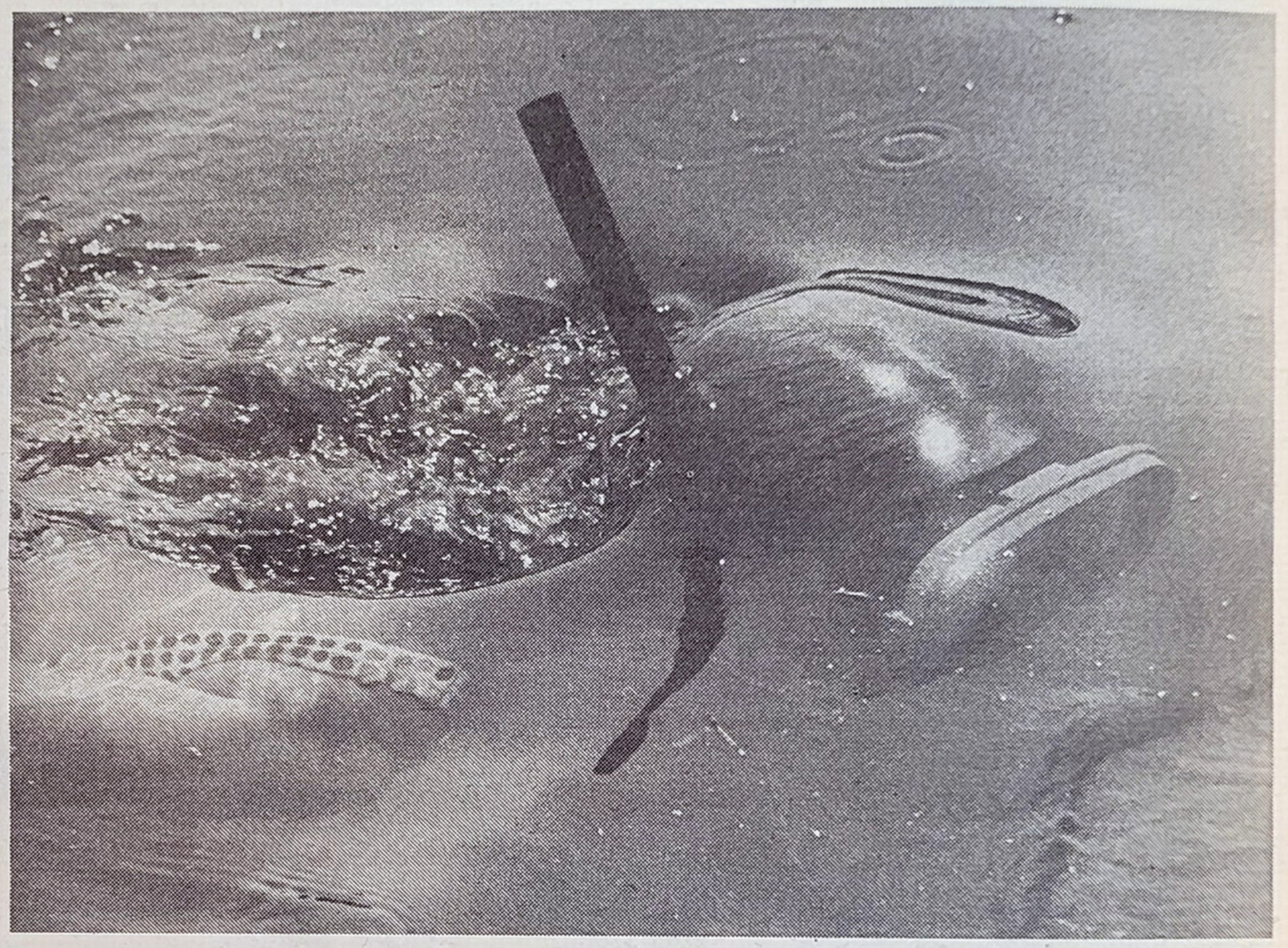

Polskie rodowody

...RĘCE MOJE SĄ CZYSTE

Ślusarz brygadzista Stanisław Muszyński (trzeci z lewej) ma sporo odznaczeń. Najważniejsze z nich to Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i Krzyż Partyzancki. Na zdjęciu widzimy go z kolegami ze ZBOWiD. Partyzanckie wspomnienia zamknął w opowiadaniu pt. „Zwiadowca", które podpisał konspiracyjnym pseudonimem „Cis".

Fot. **archiwum**

Piosenka o „upływającym szybko życiu" zakończyła uroczystość rozdania świadectw w Publicznej Szkole Powszechnej w Kobielach Wielkich, w czerwcu 1939 roku. 14-letni Stanisław Muszyński ze zwiniętą w rulonik cenzurką wrócił do domu we wsi Cadówek. Czy było mu przykro, że ani ojciec, ani matka nie pochwalili go za bardzo dobre oceny, które otrzymał? Ba, nawet nie obejrzeli cenzury! Przykro pewnie było, bo fakt ten później zanotował, dodając jeszcze uwagę, że był pierwszym z braci, który legitymował się ukończeniem szkoły powszechnej. O jego dalszej edukacji nie myślano. Nie dlatego, że w powietrzu unosiła się atmosfera wojny, nie. Po prostu wydawało się to nierealne, za trudne dla licznej rodziny (dziewięcioro dzieci) właściciela 5-hektarowego gospodarstwa o lichej glebie.

Po upalnym i suchym lecie przyszedł 1 września. W południe hitlerowskie bombowce wykonały niszczycielskie dzieło w pobliskim Radomsku, a następnego dnia traktem od Częstochowy przejechały 3 niemieckie wozy pancerne, co wzbudziło pełną zdumienia zgrozę wśród mieszkańców wsi, że tak szybko jest tu już po wszystkim... A więc okupacja...

Wczesną wiosną 1940 roku Stach zaczął pracować w nadleśnictwie. Zbierał szyszki wspinając się po sosnach, potem został zatrudniony przy pielęgnacji młodnika, później był drwalem. Oprócz zarobku dawało to zabezpieczenie przed wywózką na przymusowe roboty do Niemiec, przed czym nie uchronili się jego starsi bracia: Jan i Czesław. Głównym środkiem utrzymania, a i troską, było oczywiście gospodarstwo, musiało wyżywić liczną rodzinę i dostarczyć płodów rolnych na obowiązkowe dostawy dla okupantów.

Mijał trzeci rok wojenny. Hitlerowska armia utknęła pod Stalingradem. Myśl o walce z wrogiem coraz mocniej zaprzątała głowę Stanisława. Gdyby tak mieć prawdziwą broń... marzył. W lesie spotykał różnych mężczyzn, działały już przecież różne ugrupowania podziemne; było AK. Ale Stanisław wstąpił – bo twierdzi dziś, że wybrał świadomie – do Gwardii Ludowej*.

– **Moja wieś** – mówi – **to była biedota i większość sympatyzowała z PPR i Gwardią Ludową. Program głosił „ziemia dla chłopów, fabryki dla robotników". Tego nam było trzeba.**

Wraz z młodszym bratem Zygmuntem (siedmiu było braci Muszyńskich, dwie siostry – już zamężne) i z dwoma innymi chłopakami znalazł się jednego dnia w krytej słomą chacie stojącej na skraju wsi. Tam złożył przysięgę:

„Ja syn ludu polskiego, antyfaszysta, przysięgam, że do ostatnich sił walczyć będę o niepodległość Ojczyzny i wolność ludu. Przysięgam, że oddając się pod komendę Armii Ludowej z bezwzględnym posłuszeństwem wykonywać będę rozkazy i powierzone mi zadania bojowe i nie cofnę się przed żadnym niebezpieczeństwem. Przysięgam, że dochowam tajemnicy wojskowej i nie zdradzę jej nigdy nawet wobec najokrutniejszych tortur, że bezlitośnie demaskować będę i ścigać tych, którzy dopuścili się zdrady w walce o wyzwolenie Ojczyzny, i nie spocznę do pełnego naszego zwycięstwa."

Pod konspiracyjnym pseudonimem „Cis" wszedł w skład 3 Brygady im. generała Józefa Bema, 9-tego Częstochowsko-Piotrkowskiego Okręgu Armii Ludowej, III Obwodu Radom–Kielce. Pierwsze akcje w jakich brał udział to niszczenie urzędów gminnych i znajdujących się tam list kontyngentowych, rozbijanie mleczarni i gorzelni, rekwizycja mąki w młynach. A także „walka o szyny". Akcje odbywały się głównie nocą, w dzień „Cis" nadal był robotnikiem leśnym; dokumenty miał „w porządku".

---

*) Gwardia Ludowa (GL) konspiracyjna organizacja wojskowa PPR utworzona w styczniu 1942 r. W styczniu 1944 r. GL weszła w skład Armii Ludowej (AL) jako jej główna siła wojskowa.

AL powołana została 1 stycznia 1944 roku przez Krajową Radę Narodową i jej podlegała.

STOLICA TAJGI

– Teraz to jest prawie Europa – powiada chirurg Bogonosow, obecnie na emeryturze po kilkudziesięciu latach pracy na tym odludziu.

– Kiedy po raz pierwszy jechałem do Jerbogaczonu – opowiada Bogonosow – można się tam było dostać z Irkucka małym samolocikiem, który zabierał dwóch pasażerów i latał tylko na specjalne zlecenie. To była szybka i wygodna podróż. A bez zlecenia trzeba się było tłuc do Żigałowa, stamtąd Leną statkiem do Kireńska albo do Podwołoszyna, dalej 30 kilometrów końmi przez tajgę, potem znowu rzeką Dolną Tunguzką, jeżeli była to pora żeglugi, a woda na tyle wysoka, że barki nie utknęły na mieliznach. To płytka i bardzo kręta rzeka, stąd ewenkijska nazwa całej krainy – Katanga, czyli „Kręta Rzeka".

Całe zaopatrzenie szło wyłącznie tą rzeką, a jak czegoś zapomniano dostarczyć, albo barki z powodu niskiej wody gdzieś utknęły, to czekało się do następnego roku. Teraz trzy razy w tygodniu „Ił-14" zabierający trzydziestu pasażerów łączy nas z Irkuckiem, a małe 10-osobowe „An-2" stale latają do Kireńska, Preobrażenki, nawet od czasu do czasu do tych najmniejszych wiosek, liczących kilkudziesięciu zaledwie mieszkańców, którym też trzeba dowieźć pocztę i towary, zapewnić komunikację ze światem.

Dopiero tu, z dala od wielkich ośrodków przemysłu i cywilizacji, czuje się, co znaczy syberyjska odległość. Z Moskwy do Irkucka leci się około 7–8 godzin, pokonując 6 tysięcy kilometrów. A do Jerbogaczonu – bagatela: 1600 kilometrów, lecz zdaje się, jakby to było tuż-tuż.

Ale to są duże odległości tylko dla Europejczyka. Pamiętam z poprzedniego pobytu w Katandze, że na wiejskich lotniskach zawsze było pełno nie tylko ludzi młodych, ale także starych, zwłaszcza kobiet objuczonych najróżniejszymi towarami. Najbardziej utkwiła mi w pamięci grupa trzech czy czterech staruszek z wiadrami pełnymi zebranych w tajdze borówek. Leciały z tym skarbem, który jest głównym źródłem witamin w zimie i podstawą cudownego napoju pitego po wyparzeniu się w łaźni. Wsiadły chyba w Jerbogaczonie i poleciały do odległej o kilkadziesiąt kilometrów Nepy – najstarszej wioski w tej bezludnej okolicy.

– Wszystko zaczęło się tu zmieniać – wraca do tematu Bogonosow – od czasu, kiedy w Markowie, wiosce na brzegu Leny około 800 kilometrów stąd, dowiercono się do nafty i gazu. Ale to była rewelacja! Z głębokości 2900 metrów popłynęła czysta, przezroczysta nafta. Była tak czysta, że używano jej do lamp, a kondensat naftowy, który także wypływał z tego otworu, nadawał się do silników napędzających łodzie rybackie. To było w 1962 roku i wszyscy ogromnie entuzjazmowaliśmy się tym odkryciem. Potem było kilka lat ciszy, no i jak ruszyły ekspedycje, to i fala cywilizacji zaczęła zalewać Katangę. Jeszcze niedawno żyliśmy jakby w innym świecie – a dziś z pomocą łączy radiowych mamy kontakt telefoniczny przez Irkuck z całym krajem, odbieramy programy telewizyjne za pośrednictwem sztucznego satelity Ziemi.

Powrót z tajgi

– To bardzo dobrze – dodaje sekretarz Masjagin. – Tylko, żeby ci geologowie i naftowcy nie zapominali o tym, że pracują wśród żywej przyrody. Nafta jest potrzebna, ale tajgę też musimy zachować. Bo tajga raz zniszczona – nigdy już się nie odradza.

– Ale chyba nigdy nie będzie tu takich warunków, jak w miastach położonych w okolicach o łagodniejszym klimacie. I praca zawsze będzie inna – wtrąca naczelny lekarz Jergobaczonu, a zarazem dyrektor szpitala, Sergiej Demidenko. – Ot, nawet w tym roku, zaledwie dwa miesiące temu. Jak przyszedł mróz 60 stopni, to lotnictwo przerwało loty, a chory w Tietiei, o 120 kilometrów stąd, pilnie potrzebował pomocy. Akurat na mnie wypadło, więc pojechałem. Sankami, oczywiście, zaprzężonymi w renifery, półtorej doby w jedną stronę. Ale tego chorego Ewenka uratowaliśmy. I to wcale nie był wyjątkowy przypadek. Jeździliśmy już do chorych myśliwych kilka dni przez tajgę, a do chorej kobiety płynęliśmy kiedyś rzeką chyba cztery dni. Za to tu, na miejscu, mamy już warunki takie, jak w miejskim szpitalu. Może nawet lepsze, bo sporo aparatury diagnostycznej musimy mieć na miejscu. Tutaj nie można odesłać pacjenta gdzie indziej, żeby zrobił jakieś specjalne prześwietlenia czy analizy. No, a jeśli już naprawdę nie dajemy rady – to chorego w samolot i do Irkucka.

Szpital – jak wszystkie budynki w Jerbogaczonie – oczywiście drewniany. Drewniany jest też budynek nowego domu kultury, wzniesiony społecznym wysiłkiem mieszkańców. Wiele z nich ma oryginalne zdobione ramy okien i drzwi – tu jeszcze zachowało się wiele z tradycji architektury syberyjskiej. Teaz to jest zamożna miejscowość, z własnymi szkołami, kinem i wszystkim, czego ludziom do życia potrzeba. Ale kiedy w 1911 roku dotarł tu sławny pisarz W. Szyszkow, wędrujący z ekspedycją badającą żeglowność budowy kanału Lena – Dolna Tunguzka, oczom jego ukazał się obraz nędzy i zacofania. Stąd tytuł jego książki o tutejszych ludziach, ziemi i rzece – „Rzeka posępna". Od tego czasu minęło już ponad pół wieku, wszystko się zmieniło, a w lecie nawet „posępna rzeka" nie jest posępna.

Lato jest tu co prawda krótkie, ale gorące i przeważnie bezchmurne. W czerwcu i w początkach lipca słońce prawie nie zachodzi. Kiedy latem płynęliśmy łodziami motorowymi do Jerbogaczonu z Preobrażenki – ta trwająca kilka dni podróż bardziej przypominała zawiedzanie tropików niż Syberii w pobliżu Kręgu Polarnego. W dzień upał dochodzi do 32 a nawet 34 stopni, słońce praży niemiłosiernie, zaś woda Tunguzki jest tak ciepła, że kąpiel prawie nie daje ochłody. Około godziny jedenastej wieczorem robi się szaro, jednak jest na tyle widno, że w domu można wszystko robić nie zapalając światła. O pierwszej w nocy słońce już podnosi się nad horyzontem. Lato kończy się w połowie sierpnia, kiedy przychodzą ostre chłody, a we wrześniu zaczynają zamarzać mniejsze rzeki. Potem długa, ostra zima z dniami tak krótkimi, jak noc świętojańska nad Tunguzką.

Fot. **J. Fogler, W. Kubicki**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Dom kultury w Jerbogaczonie

Przykład typowej architektury drewnianej

W połowie lipca 1944 roku – wspomina – **zostałem przydzielony do plutonu – jak się później okazało – ochrony pierwszego posiedzenia Wojewódzkiej Rady Narodowej. Jednak ze względu na duże zagrożenie posiedzenie zostało odwołane; odbyło się w kilkanaście dni później w gajówce Ojrzeń. W posiedzeniu uczestniczyło doprowadzonych przez łączników alowskich 27 przedstawicieli: członków PPR, Stronnictwa Ludowego, Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich, Związku Młodzieży Wiejskiej, bezpartyjnych. W czasie trwającego posiedzenia do odległej o 1 km wioski wtargnął zboczywszy z głównej szosy oddział SS. Wywiązała się bitwa, mój pluton ewakuował członków Rady za Pilicę, w bezpieczne miejsce.**

Panią to ciekawi, dlaczego wybrałem AL?... Spośród czternastu moich kolegów z siódmej klasy, bo tylu nas dostało świadectwo w 39 roku (były jeszcze cztery dziewczyny) tylko trzech poszło do AK... Ja wiedziałem, tak było, że nie tam jest miejsce dla mnie, chciałem walczyć o inną Polskę, niż była w 39 roku. Mnie nie tylko szło o walkę z Niemcami...

No i przyszła inna Polska, Polska Ludowa. Fabryki, ziemia, szkoły, tak to się spełniło. Ale zbyt wiele – akurat Stanisławowi Muszyńskiemu – ona nie dała, tak to chyba można lapidarnie ująć. Praca na ziemi go nie ciągnęła. Harował więc gdzie indziej, najpierw na PKP. Ciężko było, jeść nie było co. Wieczorowo zdobył zawód mechanika-elektryka, pracował jako frezer.

Teraz jest ślusarzem brygadzistą, od 22 lat w tym samym zakładzie MERA PNEFAL w Falenicy. Robota na dwie zmiany: jeden tydzień od 6 rano do 14, następny od 14 do 22. Do zakładu ma blisko, to plus, ale przedtem sporo się napodróżował, namęczył, nie mając dobrego mieszkania. Pierwszy telewizor kupił przed Olimpiadą w Tokio. Który to był rok? 1964.

W kraju rządzonym przez klasę robotniczą, robotnik Stanisław Muszyński – jeden z tysięcy – wierny swoim młodzieńczym ideałom, potykał się, tak to odczuwam korzystając z udostępnionych mi przez niego notatek, o niesprawiedliwość, niegospodarność i niefrasobliwość. O nieliczenie się z głosem „z dołu". O biurokrację budującą swój autorytet nie wiadomo jakim sposobem, ale bardzo mocno, wszechwładnie niszczącą to, co w deklaracjach piękne i słuszne, i sprawiedliwe... Gorzkie spostrzeżenia? Bardzo gorzkie.

Stanisław Muszyński był delegatem na VIII Zjazd Partii w lutym 1980 r. Padło na nim wiele słusznych postulatów, cóż z tego, kiedy pozostały w sferze słów, nie czynów. Nie zrealizowano ich, choć kryzys zaglądał coraz głębiej w oczy, a właśnie na dole widać go było najlepiej. Kryzys ekonomiczny i moralny, jeszcze bardziej niebezpieczny od braków na sklepowych półkach.

Muszyński notował: *„musiałem wysłuchiwać, że jestem „sługusem". Ja, co walczyłem o sprawiedliwą Polskę"*... Przyszedł sierpień, gorący sierpień 80 roku. Stanisław Muszyński nie porzucił partyjnej legitymacji, ale zanotował: *„ciężko jest członkom partii, mnie, który przysięgał na sztandar PPR, i AL, gdzie napisane było: Wolność Równość Braterstwo. Odbudowałem kraj o głodzie, chłodzie, inni kradli, spekulowali, kształcili się, ja tyrałem, byłem wierny idei demokracji ludowej.*

Całe 36 lat to rzetelna praca w trudzie, i brudzie, bom czarnoroboczy, ale dziś ręce moje są czyste".

Jest człowiekiem zmęczonym, a mimo to nie przypuszczam, aby powiedział „nie liczcie już na mnie, ja swoje zrobiłem, to nie moja zmiana!". Gdyby zechciano słuchać, co mówią robotnicy, czytać co piszą tacy należący do „klubów robotników piszących"... Stanisław Muszyński należy właśnie do takiego klubu. Parę razy otrzymał za swoje pisanie wyróżnienia, ale to jury konkursowe czytało, a kto więcej? Przez wiele lat drukował artykuły w zakładowej gazecie „Automatyk" w MERA. A pracę pt. „Życiorys prawdziwy robotnika" wysłał tuż przed stanem wojennym do Poznania, na Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, który ów konkurs ogłosił. Nie zna losów swojej pracy. Zdarzenia notuje co tydzień, czuje taką potrzebę.

Jego starszy wnuczek ma 10 lat. Pewnie robotnikiem nie zostanie, ale przecież robotnicy potrzebni będą zawsze. Ktoś musi mieć twardsze dłonie, ktoś musi do pracy zakasywać rękawy, wstawać o świcie, wracać po nocy...

Jakie wspomnienia napisze wnuk Stanisława Muszyńskiego, gdy będzie w wieku dziadka? To chciałabym bardzo wiedzieć...

ANNA GRZYBOWIECKA

Fot. **archiwum**

GWIAZDOZBIÓR

Co nowego u Daniela Olbrychskiego

Daniel Olbrychski na zaproszenie świetnego francuskiego reżysera Claude Leloucha wyjechał w drugiej połowie grudnia do Francji, by zagrać w jego nowym filmie pt. „Edith i Marcel". Jest to kolejne spotkanie naszego aktora z tym reżyserem i Francją. Olbrychski zagrał bowiem i w poprzednim filmie Leloucha „Les uns et les autres" („Jedni i drudzy") rolę dyrygenta orkiestry, potem w filmie Josepha Loseý'a „La truite" („Pstrąg") i teraz właśnie zajęty jest na planie filmu „Edith i Marcel". Zachodni świat filmowy zwrócił uwagę na talent Olbrychskiego w „Blaszanym bębenku" Volkera Schloendorffa, filmie, który jako najlepszy utwór zagraniczny zdobył „Oscara" w Cannes. Po tym fakcie właśnie Lelouche zaprosił go do dużej roli w swojej epopei. Losey obsadził go w „Pstrągu" u boku takich gwiazd jak Isabelle Huppert i Jean Moreau, a Japończycy nakręcili z nim film, którego tytuł w przekładzie polskim powinien chyba brzmieć „Nielitościwy wiatr od granic". Rola, którą tam zagrał – polskiego dziennikarza – bardzo przypadła do gustu japońskiej publiczności.

O tym wszystkim można przeczytać w jednym z ostatnich numerów filmowego pisma francuskiego pt. „Ciné revue", w którym zamieszczono duży i interesujący wywiad z naszym aktorem, ilustrowany pięknymi zdjęciami. Prezentujemy Wam jego fragmenty.

Bernard Ales z „C.R." – *Jak pan ocenia przebieg pracy na filmowym planie pod kierunkiem Josepha Losey'a?*

Daniel Olbrychski – Było to dla mnie przeżycie ważne i trochę dziwne. Dość różne od doświadczeń z Andrzejem Wajdą i Claudem Lelouchem. U nich pracowało się bardzo spontanicznie, było wiele możliwości improwizacji, w każdej scenie dużo mówiłem... Joseph Losey natomiast wszystko miał już wcześniej zaplanowane i przygotowane. To reżyser, który dobrze wie czego chce. Aktorów używa jak instrumentów. Dopiero w czasie kręcenia zrozumiałem, że kiedy nie ma do mnie żadnych uwag – jest zadowolony. Czekam z niepokojem na pokaz filmu, Losey bowiem nigdy nie pokazuje wcześniej nakręconych scen. Ich montaż jest więc dla wszystkich niespodzianką. To też jest dla mnie nowe doświadczenie. Nauczyłem się w ten sposób, a raczej zostałem zmuszony do całkowitego zaufania reżyserowi.

B.A. – *W początkach pracy w tym filmie robił pan wrażenie nieco zagubionego...*

D.O. – Tak. Przecież wyjechałem z Polski by tu pracować w momencie bardzo krytycznym, chyba jako pierwszy z polskich aktorów po ogłoszeniu stanu wojennego. Nie wiedziałem nawet czy rola jeszcze na mnie czeka. Losey był zmuszony zacząć film beze mnie, ale nie szukał następcy, mimo że ryzykował wiele. Przybyłem na plan nagle, z głową nabitą zupełnie innymi wrażeniami, a musiałem natychmiast wcielić się we francuskiego milionera. To było trudne psychicznie, ogromnie trudne. „Odnalazłem się" dopiero po powrocie z Japonii, w której kręcone były sceny z Isabellą Huppert. Mam jednak nadzieję, że nie popsułem swoim udziałem tego filmu.

B.A. – *Czym zajmuje się pan w Paryżu w tej chwili?*

D.O. – Wynajmuję tu mieszkanie i przygotowuję się do niewielkiej roli w nowym filmie Leloucha „Edith i Marcel". Będę w nim grał mistrza świata w boksie – Toniego Zale (był on zresztą pochodzenia polskiego), który utracił swój mistrzowski tytuł w walce z Marcelem Cerdon. Ponieważ przez wiele lat boksowałem i nakręciłem kilka filmów grając boksera, więc Lelouch mógł zaangażować zamiast zawodowego sportowca właśnie mnie. Myślę, że nie zagram tej roli gorzej niż dyrygenta w jego poprzednim filmie, bo lepiej znam arkana boksu niż kierowania orkiestrą.

B.A. – *A co pan myśli o metodach pracy Leloucha?*

D.O. – Jest wspaniały. Już jako widz byłem jego wielbicielem. Wiem, że wielu ludzi nie lubi jego kina, ale żaden z pracujących z nim aktorów nie może powiedzieć, że się nudził. Praca z nim jest nieustającym świętem. Jest bardzo spontaniczny, bardzo entuzjastyczny, widać, że jest świetnym profesjonalistą – a to porywa. On żyje swoim filmem, bawi się nim, śmieje się, płacze, ściska ludzi. To rodzaj choroby, wspaniałej choroby, którą zaraża wszystkich. Nie licząc Andrzeja Wajdy nie spotkałem nigdy reżysera, z którym tak przyjemnie pracowałoby się nad filmem.

B.A. – *Czy spodziewa się pan od niego jeszcze jakiejś dużej roli?*

D.O. – Kiedy skończyliśmy pracę nad „Jednymi i drugimi" powiedział mi, że odtąd będę grał w każdym jego filmie, niezależnie od tego, czy będę mógł dostać dużą czy małą rolę. Dodał też, że myśli o filmie, w którym będę grał jedną z głównych ról.

B.A. – *Pracował pan także we Włoszech, na Węgrzech i w Niemczech. Jakie znaczenie przywiązuje pan do faktu pracy poza granicami Polski?*

D.O. – To zawsze wielka radość, bo pozostają zawsze aktorem polskim i wszelkie moje osiągnięcia dobrze świadczą o mojej ojczyźnie. Oczywiście w związku z tym uważam też, że najważniejszą dla mnie rzeczą jest dobrze pracować właśnie dla polskiej publiczności, mamy przecież te same troski, problemy, historię... Ale język filmu jest międzynarodowy, toteż chcę cudzoziemców zrozumieć i poznać. To wielka przygoda pracować z innymi osobowościami i być poznawanym przez publiczność innych krajów. Jestem np. trochę zdumiony swoją popularnością w Japonii. W zeszłym roku wyświetlano tam trzy filmy ze mną: „Blaszany bębenek", „Jedni i drudzy" i „Ziemia obiecana" – no i Japończycy chyba mnie polubili. Nadali mi tytuł najlepszego aktora zagranicznego roku 81-go. Poza tym kultura polska korzysta na mojej pracy za granicą, gdyż 20% tego co zarabiam idzie do kraju.

B.A. – *Czy Polacy nie mają żalu, że jest pan ostatnio niewierny polskiej publiczności?*

D.O. – Nie sądzę, tym bardziej, że wiadomo, iż wrócę pewnego dnia.

Oprac. (eb)

DOM MODY świata młodych

W OKOLICY KOLAN ...

Długość najmodniejszych spodni obraca się w okolicy kolan. Najmodniejszych?! Nie, to byłaby nieprawda – równorzędnie jest naraz modnych bardzo wiele znacznie się różniących od siebie rzeczy, a więc jeden fason spodni nie może być najmodniejszy, bo to by sugerowało, że inne są niemodne. Jak więc je nazwać? Może – najbardziej awangardowe?! Może – najbardziej szokujące, najbardziej... dziwaczne?! Mniejsza zresztą o słowa (na marginesie, jak już mowa o słowach, potwierdzam niniejszym odbiór listu od Marii i Elżbiety z Bydgoszczy, żałując niezmiernie, że adresu swojego mi nie podały i nie mogę im odpisać szerzej, że swetrzysko, to jednak całkiem co innego niż zwyczajny i grzeczny sweter – list zawierał krytyczne uwagi pod adresem używanego przeze mnie słownictwa, z którymi to uwagami ani trochę się nie zgadzam). Istota rzeczy polega na tym, że te spodnie, które dzisiaj chcę Wam przedstawić są właśnie takie... No, nie da się ukryć – dziwaczne co nieco.

A ich dziwactwo polega właśnie na długości oscylującej w okolicy kolan – odrobinę przed kolana, odrobinę za. I nie są to bynajmniej spodnie letnie, ale zdecydowanie ciepłe – na jesień i ewentualnie na zimę nawet. Te przed kolanem się kończące, to znane już od paru sezonów (ale wakacyjnych jedynie!) bermudy czyli długie szorty. Tym razem uszyte są z materiału znacznie cieplejszego. Nosi się je do grubych podkolanówek, a jak dzień mocno jest chłodniejszy, to pod tym wszystkim są jeszcze cienkie rajstopy.

Te za kolano sięgające są pod kolanem ściągnięte (w mankiecik wąski wmarszczone, albo po prostu mają tunelik a w tuneliku gumkę). Mogą być albo całkiem wąskie, niemal obcisłe wręcz (wtedy to przymarszczenie pod kolanem ma charakter nieco symboliczny), albo bardzo szerokie (wówczas pod kolanem tworzą się ogromne... bufy). Mogą być oczywiście i szerokości pośrednie też. Do tych spodni marszczonych pod kolanem nosi się podobnie jak i do bermudów grube podkolanówki, a but zawsze na płaskim obcasie. To oczywiście poniżej spodni. A powyżej – można założyć dosłownie co dusza zamarzy. Zarówno rzecz jakąś bardzo w charakterze sportową, jak i wytwornie-romantyczną. Np. dziewczyna, która prezentuje na zdjęciu te bardzo szerokie spodnie marszczone założyła do nich cieniutką bluzkę z ozdobnym kołnierzem zawiązywaną z przodu na dużą kokardę. Ale zamiast tej bluzki mogłaby mieć na sobie własnoręcznie wydziergany (a więc może nieco krzywo) pulower i też by wszystko grało.

Na takie spodnie bardzo szerokie (mocno marszczone) potrzeba dużo materiału, ale te węższe (jak komuś rzecz się spodobała) można sobie niewielkim wysiłkiem sprawić skracając jakieś normalne długie spodnie – które np. przez wakacje zrobiły się na człowieka za krótkie, albo nogawki mają u dołu zbyt już wystrzępione. I tylko jedna uwaga! Te spodnie o długości oscylującej wokół kolan mają to do siebie, że ogromnie eksponują nogi. Wskazane są więc tylko i wyłącznie dla tych dziewczyn, które mają zgrabne łydki. Przed podjęciem więc ewentualnej w ich sprawie decyzji – zerknijcie, proszę, w lustro!

RIUSZKA

STOLICA TAJGI

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Wreszcie nadchodzi wyczekiwana długo wiosna. Już w marcu dni bywają bardzo ciepłe, śnieg topnieje na ulicach Jerbogaczonu, a na progach domów wygrzewają się sympatyczne i zawsze dla ludzi przyjazne psy. Kiedy jednak słońce zachodzi, temperatura spada czasem o 20–25 stopni w ciągu jednej godziny i wkrótce jest już minus 25 stopni. Śnieg skrzypi pod nogami i aż trudno uwierzyć, że to marzec albo nawet kwiecień i że jutro w południe może być plus piętnaście albo cieplej. Na wiosnę w Katandze zamiera wszelki ruch. Rozkisłe łąki lądowisk nie nadają się do przyjmowania samolotów, a słaby lód na rzece wyklucza możliwość korzystania z niej zarówno przez samochody, jak i zaprzęgi. Na motorówki jeszcze za wcześnie. I trzeba czekać, aż na Tunguzce puszczą lody.

Wiosną nie ma już polowań i jeszcze nie ma rybołówstwa. Wiosna jest tu więc piękna i pełna nadziei, ale w gruncie rzeczy nudna. I, niestety, bardzo długa...

WOJCIECH KUBICKI

Fragment książki pt. „Tajga" z serii „Globus" przygotowanej do druku w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej

KIESZONKOWY KOMPUTER dla tłuściochów

(PAP). Walka z otyłością stała się niezwykle popularna w Stanach Zjednoczonych. Każdego roku i miesiąca ukazują się na rynku tysiące książek i broszur, które doradzają jak się odżywiać i jaki tryb życia prowadzić, aby stracić trochę nadwagi.

Prawdziwą furorę na rynku zrobił jednak kieszonkowy komputer wielkości znanych już powszechnie liczydełek, który w parę sekund udziela wszelkich odpowiedzi na pytania dotyczące diety. Nie tylko podaje on błyskawicznie ile kalorii zawiera poszczególne danie czy nawet kanapka, ale też natychmiast informuje, co należy jeść, a czego unikać, gdy się ma tyle zbędnych kilogramów. **(kl)**

Druga kosmonautka świata, Swietłana Sawicka oraz dwóch jej kolegów – Leonid Popow i Aleksander Sieriebrow po 9 dniach pobytu na pokładzie zespołu orbitalnego „Salut-7" „Sojuz T-5" – „Sojuz T-7" szczęśliwie powrócili na Ziemię. Trójosobowa załoga przywiozła ze sobą wyniki badań swoich oraz dwuosobowej, podstawowej załogi „Saluta" – Anatolija Bieriezowoja i Walentina Lebiediewa, którzy przebywają w kosmosie już trzy i pół miesiąca (dane z końca sierpnia br.). Wśród przywiezionych wyników są m. in. zdjęcia poszczególnych rejonów powierzchni Ziemi, mórz i oceanów. Są także wyniki eksperymentów biotechnologicznych, przeprowadzonych na stacji orbitalnej po raz pierwszy, a dotyczących uzyskiwania w warunkach nieważkości superczystych substancji aktywnych biologicznie. Badania biologiczne i medyczne załogi nie wykazały różnic w reagowaniu organizmu kobiety i mężczyzny na różne czynniki lotu kosmicznego. A więc kobiety mogą być równoprawnymi partnerami mężczyzn w podboju kosmosu.

PREZES

Misja poza Układ Słoneczny

Grupa naukowców związanych z Jef Propulsion Laboratory (Kalifornia) opublikowała niedawno projekt bezzałogowej misji, której zadaniem byłaby penetracja przestrzeni kosmicznej poza orbitą Plutona. Około roku 2000 poziom ziemskiej techniki astronautycznej powinien umożliwiać wysłanie próbnika z prędkością ok. 100 km/s. Na dotarcie do najbliższej gwiazdy taka prędkość nie wystarcza – lot trwałby ponad 10 tysięcy lat. Byłaby ona jednocześnie wystarczająca dla osiągnięcia odległości przewidzianych w projekcie: 370 j.a. (jednostek astronomicznych) – 12 razy dalej niż Pluton w czasie 20 lat i 1030 j.a. za 50 lat. Z obserwacji wiadomo, że obojętny gaz międzygwiezdny zbliża się do Słońca w przybliżeniu z kierunku gwiazdy Antares. Zdaniem astronomów ewentualny próbnik powinien być skierowany w tym właśnie kierunku „pod prąd" strumienia gazu. Szczęśliwym trafem ok. 2005 r. w tym kierunku znajdować się będzie Pluton. Ten sam próbnik mógłby więc zostać wykorzystany do przelotu w pobliżu Plutona i przeprowadzenia badań tej planety i jej księżyca Charona (istnieje hipoteza, że Pluton jest podwójną planetą). Misja poza Układ Słoneczny pozwoliłaby też na obserwację niskoenergetycznego promieniowania kosmicznego, które nie dochodzi do wewnętrznych obszarów układu wskutek odchylającego działania pola magnetycznego Słońca.

ANITA LEWANDOWSKA
ul. Olsztyńska 81/12
80-395 Gdańsk-Przymorze

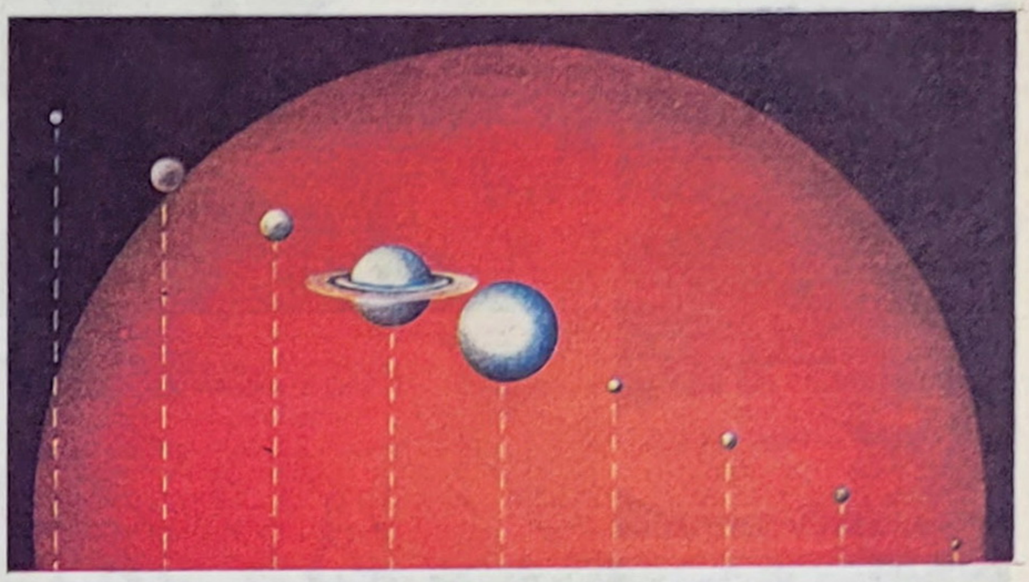

Na tle tarczy słonecznej przedstawiono proporcjonalne wielkości planet naszego układu. Od lewej: Pluton, Neptun, Saturn, Jowisz, Mars, Ziemia, Wenus i Merkury.

CZY PLANETOIDY MAJĄ KSIĘŻYCE

Problem, czy mogą planetoidy mieć księżyce stał się tematem polemik wśród astronomów. Jedni taką możliwość odrzucają, inni twierdzą, że już mają na ten nie stwierdzony fakt dowody. Stanowić je mają wtórne zakrycia zauważone podczas obserwacji zakryć gwiazd przez planetoidy. Wygląda to tak, jakby w pobliżu danej planetoidy znajdowało się jakieś ciało, które porusza się razem z nią i w pewnym momencie znalazło się na drodze promieni gwiazdy. Ostatnio tym problemem zajmował się Allan W. Haris z Laboratorium Napędu Odrzutowego w Pasademie (USA). Doszedł on do wniosku, że argumenty obu stron są mało przekonywające. Wg jego obliczeń istnienie satelitów przy większych plenetoidach jest możliwe. Orbity o rozmiarach większych od 20 km byłyby na tyle stabilne, że mogłyby być orbitami satelitów plenetoid. Mogłyby one obiegać Słońce wraz ze swoimi satelitami od początków istnienia Układu Słonecznego. To twierdzenie jednak sprzeczne jest z obliczeniami innych astronomów, wg których taki satelita już po upływie 10–100 mln lat, musiałby spaść na daną plenetoidę albo wyrwałby się z jej pola grawitacyjnego i zaczął obiegać Słońce jako samodzielny obiekt. A zatem byłyby to stosunkowo młode ciała kosmiczne i przemawiałoby to na rzecz hipotezy, iż pierścień planetoid powstał stosunkowo niedawno na skutek rozpadu jednego wielkiego ciała macierzystego. Z poglądem tym Haris się jednak nie zgadza. Odrzuca także twierdzenie jakoby doniesienia o wtórnych zakryciach gwiazd przez plenetoidy, miały stanowić dowód na istnienie satelitów planetoid. Tylko w niewielu wypadkach mogłyby planetoidy posiadać satelity i z tego już powodu – zdaniem Harisa – dotychczasowe obserwacje nie zasługują na pełne zaufanie.

TOMASZ MURAWSKI
czł. PTMA, czł. klubu koresp.
Rydygiera 14c/m5
87-100 Toruń

WIELKA ZAGADKA SYSTEMU SŁONECZNEGO

Jak i kiedy powstał Układ Słoneczny? Na ten temat istnieją dwa podstawowe poglądy. Są to: hipoteza Jeansa oraz hipoteza Kanta, rozwinięta przez Laplace'a, zwana hipotezą mgławicową.

Jeans oparł swoją hipotezę o bliskie spotkanie się dwóch gwiazd. Mówi on w swojej hipotezie, że kiedyś jakaś gwiazda zbliżyła się blisko do Słońca. Od powierzchni Słońca uniosła się (blisko powierzchni) ogromna „góra" gazów czyli materii słonecznej, która powoli, aczkolwiek systematycznie rosła. „Góra" ta była zwrócona wierzchołkiem ku blisko przebiegającej gwieździe. „Góra", po osiągnięciu maksimum, oderwała się od powierzchni Słońca, tworząc długą smugę, jakby „warkocz", który w literaturze zwany jest najczęściej „cygarem planetotwórczym Jeansa". „Cygaro" miało najwięcej materii w swoim środku i przez to w środku „cygara" powstały planety największe i najmasywniejsze: Jowisz, Saturn, Uran, Neptun. Masa materii na krańcach „cygara" była wówczas najmniejsza, przeto powstały tam planety najmniejsze, a zarazem najlżejsze: Merkury i Pluton. Pomiędzy środkiem a krańcami „cygara" powstały planety średnie – chociażby nasza Ziemia.

Hipoteza ta ma swoje dobre, a zarazem złe strony. Strony dobre – jest możność wytłumaczenia za jej pomocą wzrastającej wielkości i masy planet. Strony złe – to, że bliskie spotkanie dwóch gwiazd jest wypadkiem bardzo rzadkim. A zbliżenie się dwóch gwiazd na taką odległość, aby z jednej z nich została wyrwana materia, wydaje się rzeczą wręcz niemożliwą. Od początku istnienia całej naszej Galaktyki, ba... całego wszechświata, mogły się zdarzyć dwa, no... może trzy przejścia gwiazd blisko siebie w obrębie Drogi Mlecznej. Jednak hipoteza Jeansa ma wiele jeszcze innych poważnych braków i pewnych niedomówień. Błędy te i potknięcia Jeansa, są dziś ostro atakowane przez innych uczonych, którzy są przekonani, że system satelitarny Słońca powstał w inny sposób, np. według hipotezy Kanta-Laplace'a.

Zgodnie z nią, Słońce, a również i planety powstały z jednej, wielkiej mgławicy pyłowo-gazowej. Najpierw uformowało się Słońce, i już jako gwiazda obracało się wokół swej osi, a wraz z nim pozostałe resztki mgławicy. Podczas krążenia mgławicy dookoła Słońca, powstały w niej różne mniejsze i większe skupienia materii – wiry, i pod koniec tego procesu, powstało w końcu bardzo wiele luźno zbudowanych brył. Były one porowate i zawierały wewnątrz siebie znaczną ilość gazów. Owe bryły, poruszając się w mgławicy wymiatały pozostały gaz i pył, w rezultacie czego dalej się rozrastały. Potem nastąpiło pewne rozwarstwienie brył i powstały zaczątki protoplanet. Poruszały się one początkowo bezładnie, jednak później zaczęły obiegać Słońce rojami, podobnymi do dzisiejszych rojów meteorytowych. Poszczególne części tych rojów przyciągały się wzajemnie, a w konsekwencji następowały zderzenia. Tak tworzyły się wielkie bryły – protoplanety.

Protoplanety zawierały znaczną ilość gazów, a ich masa i wielkość były znacznie większe od dzisiejszych. Nastąpiła jednak kompresja materii, skutkiem czego gazy zaczęły się ulatniać. Podczas tego procesu rozmiary protoplanet malały przy jednoczesnym wzroście gęstości. Potem nastąpiło krzepnięcie powierzchni, ale nie u wszystkich protoplanet czego dowodami są planety-olbrzymy, które prawdopodobnie nie mają po dziś dzień zestalonej, twardej powierzchni.

Na ziemi powierzchnia zastygła ok. 3,0–2,7 mld lat temu. Jednak cały czas na naszej planecie było bardzo dużo wulkanów. Para wodna, która między innymi jest wyrzucana przez krater wulkanu ochładzała się, skraplała, po czym w postaci deszczu spadała na powierzchnię ówczesnej Ziemi. Woda spływała do miejsc położonych niżej, i tak powstały jeziora, morza, ba... nawet całe oceany. Atmosfera jednak cały czas była bogata w CO_2, a poza tym niezwykle aktywna. Na skutek potężnych, wręcz gigantycznych wyładowań atmosferycznych i skomplikowanych przemian chemicznych aminokwasów i białek powstało... życie.

GRZEGORZ FRAJ
ul. Żytnia 20
71-006 Szczecin-Gumieńce

nadal trwał w przekonaniu, że nie należy czekać na wyniki dochodzeń powołanej do badania katastrofy komisji, a ujawnić winnych jak najszybciej. Powiedział, że w ten sposób uniknie się i niedomówień, i plotek, i utraty przez przedsiębiorstwo dobrej opinii. Dopiero później, dowiedziałam się dlaczego tak mu zależało na załatwieniu sprawy wewnątrz przedsiębiorstwa.

Od jakiegoś czasu przebąkiwano, że przedsiębiorstwo należałoby zlikwidować, połączyć z innym, a raczej przyłączyć do innego. Ojciec obawiał się tej decyzji. Walczył przeciwko niej, przypuszczając, że przyłączenie oznaczałoby przerzucenie ludzi do innych miejscowości, dalekich, rozdzielenie rodzin, kłopoty z przeprowadzkami. Nie chciał do tego dopuścić. Kłopoty z przeprowadzkami. Dowodził, że w naszym mieście jest dosyć pracy. Był działaczem związkowym i musiał bronić ludzi. A teraz przerwanie wału dostarczało argumentu przeciw przedsiębiorstwu. Dlatego ojciec postanowił, że musi odpowiadać dyrektor, a nie załoga. Wierzył, że ojciec Piotra zawinił. Chciał go przekonać. Bo jednak nie miał pewności, nie wiedział na pewno, jak to się stało, że wał runął. I dlaczego tak się stało. Chciał go przekonać, by winny lub niedbały tylko wziął wszystko na siebie. I gotów był, jeśli ojciec Piotra się nie zgodzi, zmusić go do ustąpienia. Kosztem dyrektora zamierzał oszczędzić pracownikom przedsiębiorstwa kłopotów, przenosin, trudności. Nie znam zresztą szczegółów.

– Ja tam jestem za sprawiedliwością – mówił tymczasem, Smarkul i jakby nie widział, że wciskam twarz między jej fotel i fotel ojca, i jakby nie czuł moich kopnięć, a potem ich zaniknięcia; a ojciec spoglądał na nią poważnie, z delikatnym uśmiechem, widocznym tylko w kącikach ust, i leciutko przytakiwał, a potem spytał:

– Ty też uważasz, że muszę porozmawiać? Boisz się, żebym komuś nie zrobił krzywdy?

– Każdy – szeptał w natchnieniu Smarkul – powinien mieć prawo do obrony. Musisz z nim porozmawiać.

– Zdążę – mruknął ojciec, chyba tylko z przekory, bo przecież i jemu się spieszyło.

Smarkul przygryzł wargi i zastanawiał się przez kilka sekund.

– Nie wiadomo, co się jeszcze może stać. Jutro. On... No, może jest jeszcze jakiś – zająknął się i myśląc o wodnych skłonnościach amuletu, niechętnie dokończył – wał, który on budował.

– Jest – szepnął ojciec i przestał się uśmiechać.

– Więc lepiej wiedzieć dziś.

Moja siostra kącikiem oka spojrzała na mnie. Oczekiwała aprobaty i miała ją. Kiwnęłam szybko głową.

– I możemy tam sobie pobyć – powiedziała jeszcze. – Tam jest dużo noclegów, we wsi. Słyszałam, że ludzie wynajmują.

Niczego oczywiście nie słyszała.

– I ryby są – dodała, a potem, prawie dotykając ustami policzka ojca, wyszeptała tak cicho, że ledwie słyszałam:

– I, och, daj spokój, przecież wszystko jedno, jakie to są miejsca. Ryby czy nie ryby, to nieważne. Może ich nie ma. Ryb. Człowiek – dokończyła głośniej, przytakując sobie dostojnym, powolnym kiwaniem głowy – musi mieć trochę robienia czegoś innego, niż powinien. I trochę robienia czegoś innego, niż mówił. Masz! – wypaliła wreszcie i amulet ukazał się na jej dłoni, nieskazitelny, ciemny i ciepły. Złączony z jej ręką i jej myślami. – Potrzymaj.

Ojciec znów uśmiechał się kącikiem warg i ostrożnie podniósł jajko do oczu, lekko pogładził je wielkim palcem.

– Dobrze – powiedział. – Widzę, że bardzo chcesz tam się zatrzymać. Ty albo Aśka.

Smarkul nie odpowiedział. Patrzył na palec ojca, przesuwający się powoli po powierzchni amuletu, i próbował zgadnąć, co się teraz dzieje. Ojciec nie oddawał go. Trzymał, jakby zapomniał, że ma coś w ręku, i powinien to zwrócić. Patrzył w głąb jakby półprzezroczystej kuli.

– Każdy ma prawo do obrony? – szepnął, prawie pytał.

Smarkul nadal milczał. Czekał. Musiało się coś stać. Ojciec opuścił rękę na kolana, ale ciągle nie oddawał amuletu. Odchylił głowę na oparcie.

– Dobrze – powiedział. – Wysiądziemy tam.

Cdn.

SOS dla Planety

STRESZCZENIE: Tajemniczy NISZCZYCIEL chce zawładnąć całym ziemskim globem. Aby pokazać swą potęgę, powoduje zniszczenie mostu w Alpach. LUC ORIENT, pracownik instytutu badania struktury materii i jego szef dr KALA – udają się helikopterem na miejsce katastrofy. LUC jest człowiekiem, któremu wszystko się udaje i który wszystko potrafi...

II

ŚWIAT MŁODYCH
MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻOWY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ: we wtorki, czwartki i soboty.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (z-ca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekr. redakcji)
TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48 Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne **Szarlota Pawel**
Opracowanie techniczne **Jerzy Rusak**
Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 3808/G. Z-29

UŚMIECH NUMERU

MAMA POSŁAŁA Karola do łazienki, aby sobie porządnie umył twarz. Za chwilę słychać stamtąd:

– Mamo, czy uszy należą jeszcze do twarzy, czy już do szyi?

★

NAPIS W PEWNEJ szkockiej restauracji: „Ostrzega się naszych miłych gości, że nasze łyżeczki nie są lekiem, który należy brać po obiedzie".

Co ty wiesz... – mruknął. – Widziałaś przecież wodę. To on zrobił.

Znów zbliżyłyśmy się do mężczyzn, kierowca szedł w wodę, podwinąwszy wysoko nogawice spodni, boso, kijem wymacywał asfalt. Powoli zanurzał się, woda zakryła kolana, postąpił jeszcze kilka kroków, było głębiej, znieruchomiał w tamtym miejscu, a z autobusu powoli, z hałasem, wylewali się pasażerowie i milkli natychmiast, jakby woda pochłaniała ich słowa. Smarkul uśmiechnął się, przeszedł przez rów i minął kilka drzew. W lesie też stała woda. Zawrócił. Spojrzał na mnie i kiwnął. Pomyślał, że zawsze mogę na niego liczyć i pełne dumy ciepełko zakradło się w pobliże jego serca tak nieoczekiwanie, że musiał energicznie pociągnąć nosem.

– Wracajcie do autobusu – powiedział ojciec. – Nie przejedziemy. Widać, że im dalej, tym głębiej.

– Ale nie jedziemy do domu? – spytał Smarkul.

– A dokąd? – mruknął ojciec, zapalił papierosa, ze złością rzucił zapałkę na ziemię. – Oczywiście, że do domu.

– Tam wcześniej też jest rzeka, i sucho. Trzy przystanki wcześniej.

– Nie wiadomo, co jest wcześniej.

Cały czas jechaliśmy w dół – powiedział Smarkul. – Z tamtego miejsca, ono jest piętnaście kilometrów stąd. I wysokie lasy. Od niego potem znów w dół, do miasta.

Ojciec uśmiechnął się i Smarkul uczepiwszy się poręczy wrócił do autobusu. Znów ściskał amulet, czekając na olśnienie. Potrzebny jest jeden argument. Zamknął oczy i szukał go w głębi pamięci, słów i przeczuć.

Coś ten talizman, pomyślał, za bardzo lubi wodę. Wodny talizman. Smarkul przypomniał sobie kładkę i pędzącą ku niej falę, zobaczył ją i pospiesznie otworzył oczy – zamykanie ich było dość niebezpieczne, moja siostra wcale nie zamierzała znów widzieć, jak wał pada. I nie należy myśleć o wodzie. Zdaje się, że w okolicy jest sporo wałów, i któryś może...

– Aśka – krzyknął, ale mnie nie było, stałam obok ojca i czekałam na jego decyzję.

Smarkul ostrożnie zbadał, co mu właściwie może przyjść do głowy w związku z tymi wałami, i uznał w końcu, że jego myśli są dostatecznie suche, więc znów zamknął oczy, a woda jakby tylko na to czekała, pojawiła się pod powiekami, sycząca pianą, a na jej tle stał ojciec Piotra i łapał się za głowę, i coś krzyczał.

– Dość – szepnął Smarkul i wtedy przyszło olśnienie.

Z napiętymi z podniecenia mięśniami, tak napiętymi, że bolały zaciśnięte szczęki i prawie słyszało się zgrzytanie zębów, czekała na powrót ojca. To nie trwało długo. Pasażerowie po chwili zaczęli wracać do autobusu, ojciec wreszcie opuścił się koło mojej siostry na siedzenie, autobus drgnął i zawrócił na wąskiej szosie w kilku manewrach, a wtedy Smarkul odetchnął głęboko, ale jak najciszej, i powiedział, że przecież ojciec szykował się na rozmowę z ojcem Piotra, no i to jest właśnie okazja, bo ojciec Piotra ma w tamtej wsi działkę, w tej wsi, która znajduje się najwyżej ze wszystkich i na pewno jest sucha, więc chyba byłoby dobrze odwiedzić go i powiedzieć, jakie się ma pretensje, prawda? Lepiej dziś niż czekać do poniedziałku.

Z całych sił kopnęłam oparcie fotela mojej siostry, ale nie zwracała na wstrząsy najmniejszej uwagi. Przestałam kopać. Jej plan wydawał mi się szyty grubymi nićmi, lecz przecież niczego nie ryzykowałam. Ojciec może i domyślał się, że pragniemy – to znaczy ja pragnę – odwiedzić Piotra, ale chyba i rozmowę chciał jednak mieć jak najszybciej za sobą. Wiedziałam już, że poprzedniego dnia nie był nigdzie i nie skarżył na ojca Piotra choć

Dokończenie na str. 7